ŁOWIEC POLSKI



Mróz!... (Do art. „Prawdziwe polowanie", str. 114). Fot. Wł. Korsak.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 4 (924) 15 LUTEGO 1939 R.

CENA ZŁ. 1.–



Hr. Adamowa Tarnowska z odyńcem i lochą. ubitemi na jednem stanowisku w Klemensowie u Ordynata Hr. Zamoyskiego.

ODSZKODOWANIA ZA DRAPIEŻNIKI

W numerach 18 i 19 „Łowca Polskiego" z roku ubiegłego pisaliśmy obszernie o szkodach wyrządzanych przez jelenie i dziki, i o metodach, według których szkody te winny być regulowane. W poglądach swych kierowaliśmy się słuszną zasadą, że jedynym celem odnośnych przepisów prawodawczych winno być wynagrodzenie szkód rzeczywiście poniesionych, z zupełnem wyeliminowaniem jakiegokolwiek zysku lub wyzysku tej czy innej zainteresowanej strony.

W rozważaniach naszych świadomie pominęliśmy sprawę odszkodowań za straty zrządzone przez drapieżniki, gdyż uważaliśmy, że temat ten stanowi zupełnie odrębne zagadnienie. Skoro jednak oczekiwać należy, że sprawa ta może być wysunięta przy debatach nad nowelizacją prawa łowieckiego, to nie od rzeczy będzie zastanowić się czy do szkód tych mogą być zastosowane te same lub podobne metody regulacji, jak przy szkodach zrządzonych przez inną zwierzynę. Dla wytrawnych myśliwych lub przyrodników, obznajmionych z bytowaniem naszej zwierzyny, jest rzeczą oczywistą, że odmienny charakter tych szkód jak i trudności związane z ustaleniem ostoi drapieżnika, a co za tem idzie i osoby odpowiedzialnej za wyrządzone szkody, nakazują zupełnie odmienne załatwienie sprawy.

Kierując się pobudkami o charakterze więcej demagogicznym niż rzeczowym, zwolennicy obciążenia myśliwych temi dodatkowemi świadczeniami uważają natomiast, że sprawa odszkodowań za drapieżniki wcale nie jest skomplikowana i winna być załatwiona w identyczny sposób jak przy odszkodowaniach za dziki lub jelenie, czyli że szkody powinny być pokryte przez właścicieli lub dzierżawców terenu, z którego dany drapieżnik dokonywa swych niszczycielskich wypadów. Sprawa jednak tak prosto się nie przedstawia, gdyż w rozumowaniu powyższem tkwią błędy zasadnicze, dowodzące zupełnej nieznajomości poruszanego tematu.

Przypatrzmy się jak sprawa ta wygląda w rzeczy-

wistości. Z drapieżników, które mogą wchodzić w rachubę, wyliczyć należy: wilka, niedźwiedzia, rysia i lisa.



Wilki osznurowane! Fot. Inż. E. Woynicki.

Zacznijmy od wilka, który jest niewątpliwie drapieżnikiem, dokonywującym największych spustoszeń wśród naszych zwierząt domowych i który pod tym względem posiada już swoją historję. O ostoi wilka można mówić tylko w czasie lęgu i wychowywania młodych, w innym czasie wilk jest wędrowcem, cyganem, który na miejscu usiedzić nie potrafi i żadnej ostoi nie posiada. Miejsce lęgu, które mogłoby służyć za podstawę do ustalenia jego ostoi, jest zazwyczaj tak zakonspirowane, że wykryć go wprost nie sposób, zwłaszcza że w najbliższem jego otoczeniu wilk szkody nie robi, a na swe zbrodnicze praktyki wypuszcza się celowo do dalszych miejscowości. W miarę podrastania młodych cała rodzina zaczyna coraz to dalsze wędrówki, dochodzące niekiedy do bardzo znacznych odległości, które z nastaniem zimy przekraczają dziennie 60 kilometrowe dystanse. Im sroższa zima, tem wędrówki te stają się coraz dalsze i niejednokrotnie wilki pojawiają się w okolicach, gdzie ich przedtem nigdy nie widywano i których odległość od miejsca lęgu wynosi kilkaset kilometrów.

Czy w tych warunkach można mówić o ostoi wilka? A gdyby nawet ktoś zaryzykował pozytywne ustosunkowanie się do tego zagadnienia, to zaraz nasuwa się pytanie, czy wilk, który pokazał się niespodziewanie na terenie Kongresówki, pochodzi z Wileńszczyzny, czy może przywędrował z Karpat lub Polesia, czy wreszcie nie przekroczył czasem granic naszego Państwa, uciekając z raju sowieckiego. Kogo więc w razie szkody pociągnąć do odpowiedzialności? Czy za szkody te ma odpowiadać znany obywatel Wileńszczyzny, u którego stwiedzono poniewczasie rzekomy wylęg wilków, czy też nasz wschodni sąsiad? Zdaje mi się, że na pytanie to żaden prawodawca odpowiedzieć nie potrafi.

Spotkać mnie jednak może zarzut, że w wielu wypadkach, zwłaszcza tam gdzie wilki są przez myśliwych podkarmiane, ustalenie ostoi tego drapieżnika nie powinno przedstawiać żadnych trudności. Zarzut ten jest jednak najzupełniej niesłuszny, gdyż podkarmianie wilków jest przedewszystkiem jednym ze środków umożliwiających odstrzał tego drapieżnika, następnie zaś na podkreślenie zasługuje powszechnie znana okoliczność, że karmienie wilków ogranicza ich wypady rabunkowe do minimalnych rozmiarów. W rewirach, w których wilki są podkarmiane, napady ich na ludzi, zwierzęta domowe i na zwierzynę należą do sporadycznych wypadków. Rzucanie więc padła dla tego drapieżnika nie może być w żadnym razie powodem do obciążania myśliwych jakiemikolwiek świadczeniami, gdyż czynności te leżą przedewszystkiem w interesie wsi sąsiadujących z takiemi terenami.

Drugim z kolei drapieżnikiem, wyrządzającym szkody w naszych zwierzętach domowych, jest niedźwiedź, którego odstrzał chroniony jest przez ustawę łowiecką. Nakładanie więc na właścicieli lub dzierżawców terenów, zamieszkałych przez niedźwiedzie, jakichkolwiek ciężarów wydaje się już w samej zasadzie wielkiem nieporozumieniem. Skoro Państwo uważa, że dla tych nielicznych u nas przedstawicieli rodu zwierzęcego należy wprowadzić daleko idącą ochronę i na odstrzał zezwalać tylko w nielicznych wypadkach, to wydaje się rzeczą słuszną, by fundusze potrzebne na uregulowanie szkód zrządzonych przez tego drapieżnika nie obciążały ani myśliwych, ani tych, którzy w rewirach swoich tego przepięknego zwierza posiadają.

Pozatem dodać należy, że oznaczenie ostoi niedźwiedzia nasuwa również szereg trudnych do przezwyciężenia wątpliwości, uniemożliwiających ustalenie osoby odpowiedzialnej za wyrządzone przez niego szkody.



Wilki, ubite w Bersztach na polowaniu Nadniemeńskiego Kółka Łowieckiego. Fot. A. Bądzyński.

Na dowód powyższego twierdzenia wystarczy przytoczyć fakt, jaki wydarzył się z niedźwiedziem, siedzącym dziś za kratkami w warszawskim ogrodzie zo-

ologicznym, który, przybywszy z Sowietów do Polski, potrafił w okolicach Zdołbunowa rozprawić się z kilkoma końmi i baranami. A przecież takich misiów, które bez paszportów pozwalają sobie przekraczać granicę Polski z Czechosłowacji, Sowietów lub Rumunji, można liczyć na dobre dziesiątki.

Trzecim z kolei drapieżnikiem, dokonywającym ogromnych spustoszeń głównie wśród naszych zwierzostanów, jest ryś. Występy jego przeciwko naszym zwierzętom domowym są bardzo nieliczne i należą do wyjątków. Jeżeli jednak ryś wyrządza szkody, to przyczyną ich jest niedozór, gdyż zwierząt dozorowanych przez ludzi ryś, w przeciwieństwie do wilka i niedźwiedzia, nie atakuje. Dlatego też wszelkie straty wyrządzone przez tego drapieżnika uwzględniane być nie powinny.

Do tego rodzaju szkód należy zaliczyć również i szkody spowodowane przez lisy, których apetyty skierowane są głównie przeciwko ptakom domowym, pozostawionym na opiece boskiej bez żadnego dozoru. Jakkolwiek liczba tych szkód jest bardzo wielka, to jednakże wszystko to są straty złotówkowe, których udowodnienie jest więcej niż problematyczne. Z chwilą wprowadzenia odszkodowań za tego drapieżnika, ustalenie ostoi którego nie nastręcza już takich wątpliwości, jak przy wilkach i niedźwiedziach, myśliwi będą musieli być przygotowani do tego, że z powodu każdej gęsi czy kury padłej naturalną śmiercią, rozszarpanej przez włóczące się psy lub koty, czy też przez ptaki drapieżne, wytaczane byłyby złotówkowe procesy, których celem w wielu wypadkach byłoby jedynie wyzyskanie ustawy dla zupełnie nowego i zyskownego procederu.

A liczyć się należy, że z chwilą wprowadzenia odpowiedzialności myśliwych za straty wyrządzone przez lisy i rysie proceder ten pociągnąłby za sobą zupełnie naturalne zresztą żądanie wprowadzenia takiej samej odpowiedzialności za wydry, kuny i tchórze, które dokonują również dotkliwe spustoszenia. Idąc drogą tego rozumowania dalej, należałoby tę odpowiedzialność rozszerzyć na orły, jastrzębie, wrony, sroki i t. d., aż do ostatecznego absurdu.



Wyjazd na polowanie w Krzysztoforowie pow. Gostyńskiego u p. Z. Sicińskiego.



W głębokim śniegu. Fot. A. Zalewski.

Z przytoczonych więc wyżej względów szkody wyrządzone przez rysie i lisy winny być całkowicie wyeliminowane przy debatach nad znowelizowaniem prawa łowieckiego, natomiast szkody spowodowane przez wilki i niedźwiedzie, jako znacznie dotkliwsze, i najczęściej zupełnie niezawinione przez właścicieli zwierząt domowych, winny znaleźć należyte zaspokojenie.

Wynagrodzenie jednak tych szkód nie powinno obciążać ani myśliwych, ani właścicieli terenów łowieckich, gdyż ustalenie ostoi tych drapieżników jest absolutnie niemożliwe. Fundusze na ten cel powinny się znaleźć w Ministerstwie Rolnictwa z opłat za karty łowieckie, w których to opłatach Ministerstwo ma na mocy artykułu 34 prawa łowieckiego zagwarantowany udział, lecz z nieznanych powodów z udziału tego nie korzysta i pozbawia się w ten sposób środków niezbędnych do prowadzenia łowiectwa, które w naszem życiu gospodarczem odgrywać będzie coraz to większą rolę.

ANDRZEJ ŚLIWIŃSKI

OD REDAKCJI.

POWOŁUJĄC SIĘ NA NASZE OGŁOSZENIE ZAMIESZCZONE W NR. 34 I 35 „ŁOWCA POLSKIEGO Z R. 1938, O PRACY P. T. POLSKI JĘZYK ŁOWIECKI" P. STANISŁAWA HOPPEGO, WYSYŁAMY JĄ WSZYSTKIM PRENUMERATOROM RÓWNOCZEŚNIE Z NINIEJSZYM NR. 4 „ŁOWCA POLSKIEGO".

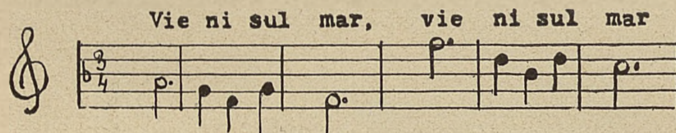
JEDNOCZEŚNIE DOŁĄCZAMY BLANKIET ROZRACHUNKOWY NR. 206 PROSZĄC O PRZEKAZANIE NAM TĄ DROGĄ KWOTY ZŁ. 1 — JAKO DOPEŁNIENIA CENY PRENUMERATY W ROKU BIEŻĄCYM.

A F R Y K A

(Ciąg dalszy).

„VIENI SUL MAR“

(Na morze — na morze!)



...„*Vieni sul mar, vieni sul mar*“. Cicho, pieszczotliwie dźwięczą mandoliny; w Neapolu, w przystani śpiewa chór. Miękkie, śpiewne melodje włoskie płaczą, śmieją się, tęsknią, aż rozpływa się w nich dusza. Wszyscy podróżni na pokładzie, sypią się oklaski, kobietom zachwyt świeci w oczach, a pieśni płyną coraz słodsze, coraz więcej namiętne: *Santa Lucia, O sole mio, Adio Napoli, O Maria* — cały repertuar.

Jesteśmy w Neapolu, słuchamy jego pieśni, a nad nami cicha, gwiaździsta noc. Na pożegnanie Europa czaruje nas najpiękniejszym swym uśmiechem — stara kokietka!



Z albumu Autora.

Wieczór był, jak w powieści — księżycowy, ciepły, cały w półtonach, włoski prawdziwie; w mieście i na wybrzeżu zapalono światła. Oświetlono *a giorno* hotele jarzyły się, jak wielkie latarnie, a przed niemi prostemi, długiemi sznurami świateł błyszczały nad morzem bulwary. Nad miastem, rozsypane w mrocznej przestrzeni nocy, jak świetliki, migotały okna w Sant Elmo, w Capodimonte, w San Martino, a wyżej jeszcze, wysoko na niebie, świeciły gwiazdy. Nad światem miesiąc stał w pełni, wiatr spał, na morzu była cisza, w toni, jak w zwierciadle — drugi Neapol: światła na brzegu, zamek dell Ovo, barwne sygnały portowe, statki w przystani i na dnie morza księżyc srebrny.

Już tonąc w półmrokach wieczoru, leży przed nami panorama, jak drugiej nie zna świat. Zatoka, dymiący, jak wielka smolarnia poleska, czarny kopiec Wezuwjusza, światła w niewidzialnym już Castellamare, w Sorrento — błyszczące w oddali, jak gwiazdy, ognie na Capri, wreszcie ujście zatoki, ziejąca ciemnością dal pełnego morza i dokoła ciepła, pogodna noc.

„Na morze — na morze“! — śpiewali Włosi — ach, jak oni śpiewali! — I w całości swej wielkiej świat był tam jak jeden czar, jak jedna harmonja, z której nic odjąć i do której nicby już dodać nie było można. Gwiaździste niebo, śpiew, Neapol i w duszy najpiękniejsze, co dano śmiertelnemu: nadzieja i oczekiwanie. Oczekiwanie wrażeń, które były tam przed nami, gdzieś za morzem, w słonecznej Afryce.

Takie chwile miewają tylko szczęśliwi, od losu wybrani — lecz nie dość je przeżyć — odczuć je trzeba i ocenić, bo tak pięknem życie we snach bywa tylko.

Patrzę, słucham, wrazić sobie w pamięć chcę każdy szczegół, każdą melodję; chcę wspomnienie to żywem zachować na resztę życia i — w głębi duszy zły jestem na siebie. Mimo całego czaru, który jest dokoła, który rozumiem, który odczuwam całą duszą, odwieczna słowiańska chmurka nie opuszcza mnie ani na chwilę: czegoś mi brak.

Dziwna natura, dziwna czy chora ta nasza dusza. Zawsze w niej na dnie trochę tęsknoty, trochę bólu i trochę tego smutku, który zrósł się z nami i który, jak przekleństwo, włóczymy za sobą wszędzie. Wszak żyję całą pełnią, powinienbym się radować i cieszyć tylko, a mimo to w myśli, jak wąż, wije się żal i świadomość, że przemijające chwile tylko mogą być szczęśliwe, bo życie samo nie przestanie być nigdy szarem i smutnem. Cała wyobraźnia jednak mówi mi, że minuty te są piękne, piękniejsze, niż wypowiedzieć, niż opisać można.

„*Vieni sul mar — vieni sul mar*“... zawodzi chór na przystani. Niemcy nawet, których na statku jest pełno, nawet znienawidzeni przez Włochów „*Tedesci*“ urok ten odczuwają i, choć pieśni włoskich nie rozumieją, rozpływają się w zachwytach. — *Grossartig! — ach, wie reizend doch! — wunderschön*“! coraz słychać na pokładzie. Ze statku rzucają pieniądze i krzyczą: bis, — bis! Soldy i srebrne liry, brzęcząc, spadają na kamienne flizy bulwaru, a śpiewacy dziękują i podnieceni, wdzięczni, powtarzają ochoczo, nie każąc się prosić.

Zapisane głęboko wspomnienia wieczoru tego i tych pieśni zachować miałem w pamięci, jak żywe. Nie zatarły ich wrażenia gwałtowniejsze, bardziej wstrząsające, doznane w podróży tej później. I w dziwnem wspomnień mych skojarzeniu, dziś, ilekroć pomyślę o słonecznych dniach, spędzonych w Afryce, o upojeniach pobytu pod równikiem i o potężnych wrażeniach myśliwskich, które tam przeżywałem, w pamięci mej równocześnie budzą się zawsze: melodje pieśni włoskich i wyjazd z Neapolu.

Ale wszystko mija — takie chwile długo nie trwają nigdy — ruszamy. Ładowanie statku skończone, na półmostku kapitańskim, zapinając białe rękawiczki, pojawił się oficer. Kotły dawno już są pod parą, nad kominem czarną, zwiewną chmurką igra w cichem powietrzu dym; kładki ściągnięto i zamykano burty. W nieruchomym jeszcze parostatku budzić się poczynały pierwsze dreszcze życia. W mieście, na wieży zegar bił dziesiątą; jak dzwon, miarowo, melodyjnie, głos płynął powoli na zatokę, leciał na drugi brzeg i konał gdzieś daleko, gdzieś w mrocznem Amalfi, w Sorrento...

Ktoś na pokładzie krzyknął: *„Ohe, anker off"!* Jakiś głos odpowiedział: *„Evviva l'anker!"*, oficer podniósł świstawkę do ust. Na przedzie statku, u dzioba, zgrzytnął łańcuch, uwalniano parowiec z uwięzi. Dzwonek — na brzegu chór śpiewał hymn: *„La bandiera tricolora"*. Jeszcze świst — zaryczała syrena — Burgmestr drgnął i ożył, z komina kłębami buchał dym. *Adio Napoli!*

Miękko, nieznacznie, brzeg poruszył się i — odchodził od ściany statku coraz dalej. Kontury wybrzeża zacierały się w półmroku; śpiew stawał się cichszy. I nagle, znienacka, druzgocąco, jak łoskot żelaznego młota, spadającego na weneckie kryształy, brutalnie, głusząc wszystko, zagrzmiały trąby. Burgmestr był rodem z Hamburga, orkiestra grała marsza, Niemcy na swój sposób żegnali włoskie niebo. Obok mnie dwóch takich właśnie dzieliło się odnoszonemi wrażeniami: „nie, ci z nami konkurencji nie wytrzymają"!

Teraz naprawdę zaczynała się podróż. Zatoczywszy półkole, w snopach światła, jak wielki meteor, parowiec, grzmiąc muzyką, wychodził z przystani. Za nami, na widnokręgu, rozpływając się, jak chmura, niknął w ciemnościach Wezuwjusz; w przystani gasły światła.

Mijaliśmy Capri; przed statkiem czarne, groźne, otwierało się morze. Ścieląc za sobą ciężki wał dymu, cały drgający od obrotów śruby, Burgmestr parł naprzód całą siłą, a za nim, coraz dalej, tonąc w morzu, niknęły światła Neapolu. Było ich coraz mniej; ledwie widzialne błyszczały już tylko na masztach w przystani i dokoła na wzgórzach, wysoko, między gwiazdami — coraz słabiej, aż zgasły i one, zalane przestrzenią.

Powiało ostrem, rzeźwiącem tchnieniem pełnego morza i bezmiaru wód, jaki był dokoła; piersiom lżej było oddychać. Migocąc przed nami, jak błędne ogniki, pojawiały się, świeciły i niknęły znowu ognie barek rybackich, zajętych nocnym połowem.

Od brzegów Afryki, od Portu-Saidu, dzieliło nas już tylko Morze Śródziemne — pięć dni podróży.

Party ogniem, który żarł mu wnętrze, statek rył toń, jak pług, i odwalając dwie skiby białej piany, szedł wprost na południe. Za parowcem, ginąc w ciemnościach, ciągnęła się biała, kipiąca brózda wody zmieszanej śrubą. Na pokładzie dawno już umilkła muzyka, słychać było tylko rytm oddechu pracujących maszyn i szum fal, trących się o ściany statku.

Noc była, przestwory morza dokoła i nad nami uroczysty spokój wszechświata. Tylko w uszach brzmiało wciąż jeszcze: *„vieni sul mar, vieni sul mar"*...

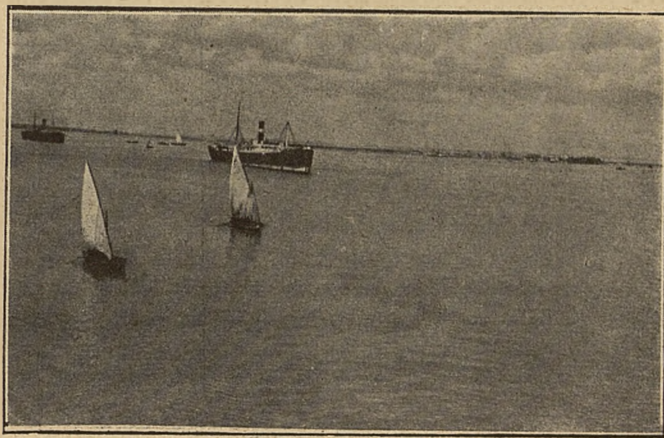
*

Morze, niebo i słońce; dużo słońca. Dokoła, jak sięga oko, faluje zielonawa, żyjąca płaszczyzna, usiana złotemi iskrami światła; nad tonią błękitne niebo i słońce.

Pośród przestworów tych i błękitów, ścieląc za sobą długi warkocz dymów, czarny Burgmestr, znikome źdźbło w przestrzeni, idzie na Wschód. Za statkiem, jak szara, mglista chmurka, nikną na widnokręgu brzegi Italji; przed nami, daleko, wyłaniać się poczynają z morza wyspy Liparyjskie i trzeci wulkan Włoch, Stromboli. Dawno już minęliśmy Sycylję z Etną i spowite we mgły góry Kalabrji.

Kiedy statek przepływał cieśniną, oddzielającą Sycylję od półwyspu, brzegi były tak blisko, że gołem okiem widzieliśmy ruiny Messyny i Reggio, zburzonych trzęsieniem ziemi, a przez polowe lornety, które towarzyszą nam do Afryki, śledzić mogliśmy robotę ludzi, rozkopujących zwaliska i rozpoznawać barwę w pokojach poćwiartowanych domów.

Wyszedłszy z cieśniny, statek przyśpieszył biegu; wyspy coraz bliższe rosną w oczach. Podarte ich zręby, ściany poorane lawą, głębokie brózdy i rozpadliny, na zboczach połyskujące żółto złogi siarki, której Lipary posiadają nieprzebrane kopalnie, i zupełny brak roślinności — wskazują zdaleka, jakiego pochodzenia są wyspy, jakie to były siły, które podźwignęły je z głębin Oceanu. Powstałe z ognia, matrwe, ponure kopce odbijają złowrogo od lazuru, w którym się kąpią i, mimo jasnego nieba i słońca złocącego świat, przejmują grozą. Nad Stromboli, jak wieczny sztandar zniszczenia, jak ustawiczna przestroga, unosi się na szczycie pióropusz dymów, czarny w dzień, ogniście czerwony w nocy.



Z albumu Autora.

Wąski tylko pasek ziemi oddziela stok góry od morza, a tak jest wielka chęć i potęga życia, że na skrawku tym, zmiatanym na przemianę przez ogień i wodę, mieszkają ludzie.

Jak idylla u bram piekła, pod wulkanem, tuż u jego podnóża, wyrosło miasto, małe, śliczne miasteczko z domkami rozstawionemi, jak białe kostki cukru, z wieżyczką kościołka i z błyszczącemi oknami większego jakiegoś gmachu, może szkoły, może ratusza. W małej przystani u brzegu stoją łodzie i żaglowiec na kotwicy, a widziana w lornecie całość, zmniejszona odległością, ma pozór żartu, albo złowrogiej zabawki. Pierwszy wybuch, który przyjść może jutro, za miesiąc, dziś może — nikt nie wie kiedy — zmiecie miasteczko, jak domki z kart. A jednak, dosłownie „sypiając na wulkanie", ludzie żyją tam. Żyją, modlą się w kościołku, a nawet, jak świadczą krzyże na miniaturowym cmentarzu, umierają niekiedy własną śmiercią.

Jak zjawa w świetle słońca, jak obraz rzucony na ekran lazuru, złowrogie wyspy, miasteczko, białe domki na wybrzeżu i połyskujące złotem pokłady siarki poczęły oddalać się, zacierać zwolna i niknąć. Nad lazurową tonią, na widnokręgu, sterczały jeszcze czas jakiś szczyty, potem widać już tylko było leżącą na morzu chmurkę dymu, aż — przesłonięta błękitem przestrzeni skryła się i ona.

Czas jakiś towarzyszyły nam jeszcze białe mewy, dążące za statkiem, potem, zawróciwszy ku brzegom, opuściły nas i one.

Statek całą parą szedł na Wschód, dokoła było tylko morze, sklepienie nieba i na sklepieniu tem słońce.

NA MORZU.

Jeżeli pogoda sprzyja, podróż morzem, a zwłaszcza podróż prawdziwie daleka, na wody egzotyczne, urok sama przez się przedstawia niezmierny. Z chwilą wstąpienia na statek otacza jadącego świat obcy, nieznany, pełen szczegółów, które, chociażby ze względu na bezpieczeństwo osobiste, zaciekawiać muszą każdego. Nowość otoczenia, tryb życia, statek, manewry załogi i próbne alarmy na przypadek prawdziwego pożaru albo rozbicia, a wreszcie szczególnie zajmujące południowe, zamorskie porty, bawią dorosłych nawet podróżnych, jak dzieci.



Z albumu Autora.

Burgmestr, któremu powierzyliśmy nasze losy i który, jeżeli pozwoli Neptun, dostawić nas ma do Mombasy, małym jest parostatkiem w porównaniu z olbrzymami, które krążą po Atlantyku, między Europą i Ameryką. Jest to jednak pokaźny statek o sześciu tysiącach tonn, dwóch śrubach, poruszanych siłą czterech tysięcy koni, i stu przeszło ludziach załogi.

Jako „Afrykanin", spędzający znaczną część istnienia swego na morzach południowych, w klimacie gorącym, Burgmestr, obok zwykłego komfortu statków pasażerskich współczesnych, telegrafu bez drutu itp., zaopatrzony jest w cały szereg urządzeń, li tylko ochronę od gorąca mających na celu. Oprócz poustawianych na każdym kroku wentylatorów elektycznych, posiada więc: fabrykę lodu, sztuczne chłodnie, maszynę do wytwarzania słodkiej wody itd. Ma nawet własną drukarnię, w której jednak, o ile mi wiadomo, drukowane są tylko jadłospisy i — programy koncertów.

*

Pozatem statek urządzony jest zbytkownie, ale ciężko i bez gustu. Ściany sali jadalnej wyłożone są czerwonym marmurem, buduar onyxem, oprawionym w ramy z alabastru itp.

W kajutach, pomalowanych biało i czystych, miejsca niewiele więcej, niż w obszernym sleeping'u. Umeblowanie składa się z dwóch łóżek, jedno nad drugiem, dwóch umywalek, z niewielkiej sofki, pod którą ustawić można podręczne walizy, i z małej szafki w ścianie. Prócz tego pełno różnych skrytek, kącików, półek i wieszadeł. Przy łóżkach elektryczne wentylatory rzucają prąd powietrza wprost na twarz śpiącego, bez czego pobyt w kabinie niemożliwym byłby chwilami. Okno okrągłe, nie większe od chustki do nosa, z jednej grubej tafli szkła, oprawnej w ramę z mosiądzu, na śrubach. Otwierać je mnożna tylko przy spokojnem zupełnie morzu, bo inaczej narazić się łatwo na prysznic, co w nocy zwłaszcza, podczas snu, przyjemnem nie jest. Doświadczyłem tego na sobie, kiedy, podczas sjesty poobiedniej na sofie, lunął na mnie z uchylonego okna potok wody. Ponieważ morze rzadko tylko bywa zupełnie ciche, więc ani nadmiaru świeżego powietrza, ani światła, mimo jarzącego słońca, niema w kabinie nigdy.

Jak przystało na dobrych chrześcijan, pocieszaliśmy się, że bliźnim, mieszkającym od strony słońca, gorąco dokucza więcej jeszcze.

Co do mnie, wchodząc do kajuty, doznawałem wrażenia, że wchodzę do niewietrzonej, źle oświetlonej pralni. Wielka ilość pary wodnej, unoszącej się w powietrzu, sprawia, że na statku wszystko, czego dotknąć, wydaje się wilgotnem. Klamka metalowa robi wrażenie wilgotnej, wilgotną jest bielizna, pościel, odzienie i książka w ręku.

Zapełniony Burgmestr zabiera 70 podróżnych klasy I, przeszło 100 klasy II i około 200 t. zw. „pokładowych" t. j. klasy III-ej. Tymczasem jednak mamy ich tylko w dwóch pierwszych klasach. Pokład zaludni się później dopiero, kiedy w dalszych portach statek zabierać będzie krajowców na wybrzeżach Afryki. Na początek więc, kto lubi przestrzeń i swobodę, miejsca do spaceru i — powietrza ma dosyć.

Wyższy personel statku, niejako sztab załogi, składa się z kapitana, nie używającego nigdy szczoteczki do zębów, dobrodusznego i uprzejmego gentleman'a, z dwóch oficerów, inżyniera, kierującego maszynami technika, lekarza, kasjera, sterników, szefa kuchmistrza i osoby na statku niezmiernie wpływowej, starszego steward'a, od którego zależy głównie wygoda i dobra obsługa podróżnych. Do załogi należą dalej majtkowie, maszyniści, kucharze, fryzjer, stewardzi, pokojówki, usługujące w damskich kabinach, palacze i t. d.

Bieliznę piorą i prasują na statku, pracując po 16 godzin na dobę, najczysztszej krwi Chińczycy; prawdziwi „czajneza", jak szepleniąc, nazywają się sami. Niestety, przy całej pracowitości i nakładzie czasu, którego narówni z chlorkiem nie szczędzą, piorą źle i bieliznę zwracają brudną. Kiedy słyszeli, jak rozmawiałem z L. po polsku, śmiejąc się, zwracali się do nas sprytnie: „Russa, Russa", jako do Rosjan.

W kotłowni pracują wyłącznie czarni, przeważnie Somalisi, werbowani w gorących portach Morza Czerwonego. Biali, ani Azjaci, nie znieśliby piekielnego żaru, jaki panuje w oddziale maszyn, mimo warczących tam nieustannie, potężnych wentylatorów. Za grubą szybą, tak nagrzaną, że nieledwie parzy za dotknięciem, widać ich nagie, czarne postacie zlane potem, kiedy uwijają się w czerwonym żarze, jak djabły.

Mało co niższa temperatura panuje w leżących obok kotłowni składach, gdzie znajdują się bagaże. Podróżnym wolno zaglądać tam dwa razy tygodniowo, a za napiwkiem częściej.

Niespokojny o los błon fotograficznych, które gorąca nie znoszą, usunąłem je z bagażu i oddałem kucharzowi na przechowanie do śpiżarni.

Nieoczekiwany kontrast z rozpaloną kotłownią i magazynem uderza w bliskiej chłodni, gdzie zamrożone, trzymane stale w temperaturze niżej 0, przechowywane są zapasy na trzy miesiące, t. j. czas, jaki trwa podróż dokoła Afryki. Jak w składzie delikatesów, widać za szybą drób, zwierzynę, ryby, jarzyny, owoce, a nawet ćwierci mięsa i polędwice. Część produktów świeżych zakupywaną bywa wprawdzie w portach, w których przystaje statek, przeważnie jednak karmią nas zapasami mrożonemi i, co gorsza, konserwami.

Odżywianie więc na statku niezawsze jest bez zarzutu i znosić go długo bezkarnie większość podróżnych nie może. Po pierwszych paru dniach, kiedy przekonałem się, że produkt podawany jako masło wspólnego ze śmietaną ma niewiele, a potrawy zbyt wyszukane szkodzą, karmić się postanowiłem po swojemu i jadałem przeważnie: szynkę, jaja, owoce, jarzyny i najprostsze potrawy mięsne, co do świeżości których wątpliwości nie miałem żadnych. Przekonany jestem, że ostrożność ta uchroniła mnie od przypadłości, jakie dokuczały dotkliwie innym podróżnym z Burgmestra.

Jeżeli mówić o niebezpieczeństwie podróży, jak nasza, kuchnia na morzu wydała mi się groźniejszą, niż lwy i nosorożce na lądzie. Od lwa, przy dobrym sztucerze można się obronić; wobec kucharza podróżny jest bezsilny.

Niezmiernie obfita i pozornie wystawna, a niezawsze zupełnie zdrowa kuchnia, jaką podają, przypomina sposób żywienia w średnim hotelu, który uchodzić chce za pierwszorzędny. Potraw dużo, menu wyszukane, lecz sposób przyrządzenia, masło i, co najgorsze, świeżość produktów, do życzenia często pozostawiają dużo. Karmią nas sześć razy, a nawet na żądanie siedem razy dziennie. Rano, między 6 — 7 godz. do kabiny: herbata, *(early tea)*, kawa albo kakao. O godz. 9 angielski *„breakfast“*, przy którym podają gorące dania mięsne. W południe o 12,30, zaledwie ostatni podróżni wstać zdążą do stołu, drugie śniadanie mięsne z sześciu dań.

Jako przykład:

Burmerstr. Lunch. Menu 14.XII 191...

1. Homar à la Helgoland.
2. Sałaty: z ogórków, z kartofli, po rusku i po rumuńsku.
3. Buljon w filiżankach, grochówka, pasztet Toulouse.
4. Kotlety cielęce ze szparagami, polędwica à la Rossini, kotlety baranie z rusztu, fasola, kura po indyjsku.
5. Mięsa zimne z sosem: rostbef, szynka surowa i gotowana, pod różnemi postaciami i nazwami kiełbasa, mięso wędzone; sery — szwajcarski, gorgonzola; kompot z jabłek i ze śliwek.
6. Ciastka z jabłkami i ze śmietaną.

Czarna kawa, podawana na pokładzie albo w barze.

Na podwieczorek, między 4—5, do wyboru kawa albo herbata i ciasta.

Wieczorem o 7-ej, z wielką już pompą — obiad. Służba występuje w galowej liberji, panie w jasnych sukniach, panowie w smokingach. Pod koniec podróży, kiedy statek minął zwrotnik i wszedł w strefę gorącą, pojawiły się dobrze widziane i oznaczające „lepszy styl“ kolonjalne smokingi białe. Niestety, na dwóch mieliśmy taki jeden tylko i to pierwszego zaraz wieczora splamił go winem czerwonem mój towarzysz.



Z albumu Autora.

Obiad wystawniejszy jeszcze i obfitszy, niż śniadanie.

Burgmestr. Obiad. Menu 14.XII 191...

1. Zupa żółwiowa jasna.
2. Sole — sos Joinville.
3. Combry cielęce z jarzynami — sos truflowy.
4. Szpinak z grzankami, „Schlosskartofeln“.
5. Indyk nadziewany — kompoty — sałata.
6. Lody Fürst Pückler.
7. Sery — masło — owoce.
8. Kawa.

Podczas koncertu, po obiedzie, dostać jeszcze można herbaty na żądanie. Zjeść więc wszystkiego, co zastawiają, nie mógłby chyba największy żarłok. Anglicy, choć apetyt miewają dobry i jadać zwykli dużo, narzekają, że stół na statku jest zbyt obfity i poprzestają na części tego zaledwie, co podają. Niemcy nawet nie są w stanie podołać wszystkiemu, choć stół wliczony jest w cenę biletu i zapłacony zgóry. Dopłacamy osobno tylko za napoje, wyborne niestety i bardzo tanie, bo na morzu nie obowiązuje ani cło, ani akcyza. Wino pijamy o połowę tańsze, niż na lądzie, a piwo pilzneńskie, doskonałe, podają z lodu, prosto z beczki. Było tam wino mozelskie z lodu, którego nie zapomnę.

Wobec upału, który dokuczać począł już za Suezem, na siódmy dzień podróży, łatwo zrozumieć pokusę i powodzenie, jakiem cieszy się steward, zarządzający piwnicą, Po raz pierwszy też w życiu, dowiedziałem się na statku, że mam artretyzm. Zapewne od wilgoci, o której wspominałem już wyżej.

(C. d. n.)

STANISŁAW ZABOROWSKI

PRAWDZIWE POLOWANIE

Prawdziwe polowanie! Tak oto my kresowcy nazywamy łowy w naszych puszczach i na naszych rojstach, w przeciwieństwie do t. zw. polowań kulturalnych na zachodzie kraju.

Niedawno jeden z moich przyjaciół, wyrosły na masówkach zajęczych i bażancich, długo i szeroko dowodził mi wyższości polowań kulturalnych nad kresowemi:

Lasy na Kresach Wschodnich są puste, głuche mioty na polowaniach zbiorowych, tak deprymujące myśliwych, są tu na porządku dziennym, czekanie przez całe przedpołudnie na wyniki tropienia, a potem znowu parogodzinne czekanie na stanowisku na rzekomo ofladrowanego wilka, który zwykle nie wychodzi na myśliwych — to normalny epilog polowań kresowych. A ile przytem czasu traci się, ile trzeba znieść fatygi i niewygód!



Z polowania Wojskowego Tow. Łow. W Bronnej Górze.
Fot. W. Makowski.

Niedługo po tej rozmowie pojechałem właśnie na takie polowanie kresowe. Jestem pod świeżem wrażeniem przeżytych przygód — i temi właśnie przeżyciami chcę podzielić się z czytelnikami „Łowca Polskiego".

*

Nielada to problem wyekwipowania wyprawy myśliwskiej na tygodniowy pobyt w puszczy. Koce, poduszki, burki, naczynia kuchenne i stołowe, jedzenie, nie wyłączając produktów wiejskich, jak masło i jaja — wszystko trzeba zabrać ze sobą. Ile pozatem przeszkód ma do pokonania każdy z myśliwych, aby wyrwać się na tak długo z domu i od obowiązków. To nie niedzielna polówka o kilkadziesiąt kilometrów od miasta.

Dn. 5 stycznia r. b. siedmiu myśliwych pakowało walizy w Warszawie, Gdyni, Lwowie, Toruniu i Suwałkach. Następnego dnia na punkcie zbornym u Żorża w Wilnie zasiedli razem do śniadania. Od szeregu już lat w tym samym dniu, Trzech Króli, przy tym samym stoliku zasiada do śniadania to samo mniej więcej grono zżytych ze sobą przyjaciół. Stroje miejskie pozostały w domu, a z niemi razem miejskie troski i kłopoty.

Trzy godziny jazdy koleją z Wilna ku północnej granicy Państwa schodzą szybko przy bridżu i pogawędce. Na stacji końcowej — małej stacyjce kresowej — pociąg stoi tylko minutę. Stosy waliz, worków, skrzynek wylatują migiem z wagonu. Okutani w kożuchy i baszłyki starzy znajomi: Dominik, Ambroży, Alfons, Witalis — znoszą bagaż myśliwski do sanek. Śnieg tu wszędzie leży na pół metra, sanna wyśmienita. Do leśniczówki, końcowego etapu podróży jest 16 kilometrów. Droga przez tak dobrze znajomą puszczę mija szybko.

Cicho stoją ośnieżone świerki. Bezlistne szczyty brzóz i olch giną w ciemni nocy. Śnieg skrzypi pod płozami sań. Mróz. Zima jest tu w całej swej krasie.

Na wielkiej salce leśniczówki stoi siedem łóżek polowych. Pośrodku salki olbrzymi piec. Walizki podróżne muszą zastąpić na salce stoły i szafy. Już je rozpakowano. Krótka dziś kolacja, żadnych bridżów — bo jutro pierwszy dzień polowania.

*

Myśliwi polują na skraju puszczy na drobną zwierzynę, ale zwierzynę niebylejaką: jarząbki, cietrzewie, bielaki; szarak jest tu już rzadkością. Małe, niegłębokie miotki idą jeden po drugim. O godzinie jedenastej od strony drogi borowej odezwała się trąbka. To łącznik przywozi meldunek od tropicieli: — ryś obcięty w kwartale 18-ym! Po chwili myśliwi, a wraz z nimi dwunastu wyborowych naganiaczy, siedzą już na sankach. Fladry jadą razem. Do kwartału 18-go jest 4 kilometry. Jesteśmy tam po trzech kwadransach jazdy. Nie fladrujemy nigdy rysi ani wilków, zanim myśliwi nie są rozstawieni na stanowiskach. Cały tabor: myśliwi, strzelcy, naganka, fladry — zjechali po otropieniu zwierza na miejsce, tu ustala się kierunek i sposób pędzenia, rozstawia się myśliwych, poczem strzelcy i naganka, podzieleni na dwie partje, pociągają fladry od stanowisk krańcowych w głąb miotu, a sami obstawiają czwarty bok prostokąta, zamykając w ten sposób miot. Odzywa się dyskretnie trąbka i zaczyna się pędzenie. O ile zwierz wychodzi na linję strzału — następuje to zwykle w 20 minut po ustawieniu się myśliwych na stanowiskach. Jest to niewątpliwie najbardziej racjonalny i najmniej zawodny sposób polowania na nasze wielkie drapieżniki kresowe.

Już od piętnastu minut siedmiu myśliwych oczekuje na głos trąbki z przeciwległej strony pędzonego kwartału. Wszelkie życie na linji zamarło. Jest to miot trudny i denerwujący. Przed wszystkiemi siedmiu stanowiskami zwarta ściana lasu bez najmniejszej widocz-

ności. To samo po drugiej stronie „mostówki", na której stoją myśliwi. Strzał możliwy jedynie na linji, sama linja jednak jest zarośnięta krzakami i łozą i poprzegradzana zwalonemi kłodami drzewa. Wystarczy, aby ryś po dojściu do linji dał susa — żeby poszedł wogóle bez strzału. A i strzał w tych warunkach jest więcej niż problematyczny.

Trąbka odzywa się w czasie przewidzianym. Trąbka oznacza nietylko początek pędzenia, ale także to, że zwierz nie wyszedł z ostępu w czasie fladrowania. Serca biją mocniej, napięcie uwagi i nerwów rośnie. Cisza w lesie absolutna; naganke słychać doskonale; gdzieś bardzo daleko, we wsi za lasem, szczekają psy. Mija dobry kwadrans od momentu ruszenia naganki; są już niedaleko. Na linję wyszedł bielak i spokojnie kica obok znieruchomiałego myśliwego. Wtem na prawem skrzydle pada strzał, a zaraz potem drugi. Pomiędzy numerem szóstym a siódmvm rozegrała się wreszcie tragedja tropionego rysia. Po sypkim śniegu doszedł on niezauważony i niedosłyszany przez nikogo do samej „mostówki" i tu przystanął. Nie skoczył jednak, ale wysunął głowę na linję i rozglądał się. Dostrzegł go myśliwy ze stanowiska nr. 7 i szybko złożył się. Zanim jednak strzelił — ryś spłoszył się od ruchu broni, skoczył na linję, tu błyskawicznie zwinął się i ruszył po linji wprost na stanowisko nr. 6. Pierwszy myśliwy mógł strzelić tylko raz, jak długo ryś był blisko, to też strzał oddany w pośpiechu nie był czysty i tylko lekko zranił zwierza. Natomiast drugi myśliwy dopuścił go spokojnie na 20 kroków, strzelił i ryś zrulował w ogniu. Żył jednak, a nawet skoczył. Myśliwy strzelił po raz drugi. Ryś padł i począł wić się — jak zdawało się w śmiertelnej. agonji.

Obaj myśliwi podeszli teraz do swej ofiary. Potężny kot wijąc się zarył się w śnieg tak gruntownie, że tylko tylne nogi widoczne były na zewnątrz. I w tym właśnie momencie nastąpiła rzecz najbardziej nieoczekiwana i przy polowaniach na rysie nigdy prawie niespotykana: jednym susem ryś stanął na czterech łapach nawprost myśliwego, który go zranił; wyprężył się, jak do skoku, kark zgiął tak, jak to czynią koty, gdy są atakowane przez psa; ogonek wyprężył i z paszczą otwartą utkwił wzrok w twarzy swego pogromcy, od którego był oddalony zaledwie niespełna o 2 metry. Ten, mając broń nabitą, instynktownie zasłonił się nią i zaczął cofać się. Ryś jednak nie rzucił się na myśliwego, zawrócił i skoczył z powrotem do miotu, ginąc w gąszczu. Tu jednak osaczyła go naganka, a za chwilę jeden z myśliwych dostrzelił rannego zwierza, siedzącego na zadzie. Była to stara kotka.

*

Znowu trąbka odwołała myśliwych z miotów jarząbkowych. Tym razem łącznik przywiózł wieść, która zelektryzowała myśliwych: w małym kawałku otropiono odyńca i 2 wilki. Trzeba skoczyć po drodze do leśniczówki po sztucery, a i kolanka przy tej okazji nie zawadzi obejrzeć. Szybko suną sanie na wyznaczoną krzyżówkę. Tu spotyka je tropiciel. Zła nowina: wilki wyszły. Szybko zapada decyzja: tropić dalej wilki, a odyńca zostawić w spokoju. Zadanie niełatwe, bo wilki są wciąż w ruchu, a w dodatku trzeba posuwać się za niemi całym taborem myśliwych i naganki. Od czegóż jednak jest z nami słynny tropiciel — wilczarz Kuropatkin, wypożyczony nam uprzejmie przez hr. Maurycego Potockiego. Jest to istotnie mistrz w swoim fachu, który słusznie zdobył sobie przezwisko „wołkodaw" Drugi tropiciel, miejscowy gajowy Bielicki, jest zresztą prawie równie dobry.



Puszcza kresowa. Fot. Wł. Korsak.

Otóż pod wodzą tych dwóch doświadczonych wilczarzy rozpoczęła się gonitwa za wilkami. Cztery razy je obcinano i cztery razy wychodziły. Dołączył się do nich w międzyczasie trzeci wilk. Wreszcie po 3-ch godzinach gonitwy po puszczy, skomplikowanych objazdów i przecinań, w czem brali udział także myśliwi — wilki są „w worku", w kwartale 36-ym. Szybko myśliwi stają na stanowiskach i ruszają fladrujące skrzydła. Znowu znieruchomiałe postacie pod ścianą boru, znowu napięte nerwy, wytężony słuch i wzrok. Strzelb tym razem jest tylko pięć, bo dwaj myśliwi musieli wyjechać.

Poranek tego dnia był mglisty, drzewa przybrały się więc w białe koronki szronu. Słońce zachodzi i złoci białe czuby brzóz na tle granatu czystego nieba. Miot tym razem bardziej przejrzysty, z wyjątkiem lewego skrzydła, gdzie myśliwi stoją przed zwartą ścianą młodniaka. Mija 20 minut, pół godziny, godzina — a trąbki niema. Czyżby wilki znowu wyszły z ostępu? W takim razie jednak byłby o tem meldunek. Trzeba cierpliwie stać dalej. Aż wreszcie po 80 minutach czekania pada na lewem skrzydle strzał w miot, a niedługo potem na prawem skrzydle od flader wypada na linję duży wilk. Myśliwy, stojący na numerze 5, posyła za nim dwa ładunki loftek. Naganka wychodzi na stanowiska. Wówczas dopiero daje się ustalić przebieg wydarzeń.

Okazało się przedewszystkiem, że i tym razem wilki wyszły z ostępu i trzeba było obcinać je dalej, tak że w rezultacie miot był dwukilometrowy. Z tego właśnie powodu myśliwi czekać musieli dłużej, niż zwykle.

Na dobre 20 minut przed pierwszym strzałem, pomiędzy numerami 1 i 2 wilk wytknął na linję łeb. My-

śliwi nie mogli strzelić, bo ich własne głowy i łeb wilka były na jednej linji. Wilk postał chwilę i cofnął się bez strzału. Po 20 minutach w tem samem miejscu powtórzyła się ta sama scena. Tylko, że tym razem wilk cofnął się pod innym kątem i dał jednemu z myśliwych okazję do strzału. Zrulował w ogniu.



Najlepsi tropiciele z Małoryty: Fedor, Baluk i Marko, oraz dzikarz „Ras". Fot. Gen. Cz. Jarnuszkiewicz.

Był to piękny basior. Natomiast na stanowisko nr. 5 wilk wyszedł „klasycznie"; trzy razy odbijał się od fladr, aż wreszcie doszedł do ich końca, ale już pod stanowiskiem myśliwego. Po jego strzałach zniknął w gąszczu za linją. Leżał jednak o metr od linji, strzelony dobrze na komorę i w łeb. Trzeci wilk przeszedł niedostrzeżony przez linję naganki. Wilki strzelone padły z rąk dwóch generałów, uczestniczących w polowaniu. Stąd też miot ten nazwano „miotem generalskim".

*

Miot jarząbkowy. Codziennie brano po kilka takich miotów, zanim odezwała się trąbka i nadszedł meldunek o otropieniu grubszego zwierza. Miot jarząbkowy ma swoją własną odrębną fizjonomję. Dobry myśliwy wyczuje go zawsze i oceni jego urok. Tam, gdzie wśród starego drzewostanu osikowego i brzozowego widnieje gęste podszycie świerków, tam — najchętniej gnieżdżą się jarząbki. Trudno było dać im radę w tym roku, bo na świerkach leżały czapy śniegu i jarząbki ukryte w głębi, przy pniu świerkowym, czuły się bezpiecznie i nie chciały wylatywać. Ubywa ich zresztą — głównie z powodu rozpanoszenia się w lasach kresowych coraz liczniejszych tu wiewiórek, największych wrogów jarząbków, cieszących się u nas zbyt daleko idącą ochroną. A jednak i teraz w wielu puszczach kresowych, w każdem prawie pędzeniu myśliwy ma okazję strzału do jarząbka. Stąd daleka jeszcze droga do zdobycia trofeum, niewątpliwie bowiem strzał do pędzonego jarząbka należy do najtrudniejszych. W puszczy naszej mamy jarząbków szczególnie dużo; przed dwoma laty na jednem z małych polowań specjalnie jarząbkowych, kiedy nam nie „przeszkadzali" tropiciele, podnieśliśmy po trzech dniach polowania w 5 strzelb — 54 jarząbki.

Do dwudziestu miocików jarząbkowych bierze się dziennie. Tu nie czeka się na stanowiskach. Ledwie stanął myśliwy na wyznaczonem miejscu — już naganka rusza, a po 10 minutach jest na linji. Jeszcze naganka daleko — a tu coś zatrzepotało w koronie świerka i posypał się śnieg z drzewa. To jarząbek, ruszony w głębi miotu, nadleciał i usiadł. Jeżeli uda się myśliwemu wypatrzeć siedzącego jarząbka — strzał jest śmiesznie łatwy. Przeważnie jednak ukrywa się on umiejętnie wśród gałęzi świerkowych, stąd wypatruje wokoło i zrywa się już z pod samej naganki, rzadko w takich wypadkach dając okazję do strzału. Najczęściej jednak jarząbki pojawiają się na linji myśliwych tuż pod naganką. Taki jarząbek, lecąc przeważnie nisko, często na wysokości ok. 2 metrów, furknie nad głową myśliwego i zniknie w gąszczu świerkowym. Strzał rzutowy rzadko strąci szarego ptaszka. W pędzeniach jarząbkowych trzeba przez cały czas uważać — tem bardziej, że ulubione stanowiska jarząbkowe są prawie zawsze także stanowiskami bielaków. Te tajemnicze białe duszki leśne, taksamo jak jarząbki, potrafią płatać figle i robić niespodzianki myśliwemu. I tu czasem strzał jest więcej niż łatwy, gdy bielak kicając wreszcie stanie słupka, nieraz o parę kroków od myśliwego. Potrafi on jednak przemknąć się przez linję niezauważony, potrafi zmylić celność strzału kluczeniem.

To właśnie jest urokiem miotów jarząbkowo-bielaczych: i jarząbek i bielak mogą zjawić się przed myśliwym w najmniej oczekiwanym momencie i w najbardziej różnorodny sposób. Strzał jest coraz to inny, a zawsze szybki. Myśliwemu, który wyczuwa istotę łowów, serce zabije mocniej przy każdym bielaku i każdym jarząbku, choćby miał ich wiele w życiu na rozkładzie.

*

Wcześnie ściemnia się w styczniu. Już o 4-ej pp. sanie zajeżdżają przed leśniczówkę. Cóż to za rozkosz ściągnąć rękawice, zwlec burki i kożuchy, umyć zimną wodą twarz, spaloną od mrozu i wiatru, rozczesać skołtunione włosy i usiąść wreszcie w gronie miłych przyjaciół do prostego stołu i prostego jedzenia. Z mrozu wódka tak smakuje, a gorąca kiełbasa czy zrazy równają się ziszczeniu najwspanialszych marzeń. A potem przy tymże stole, jedynem zresztą miejscu zbornem w leśniczówce, biesiada w gronie przyjaciół, zdala od spraw codziennych, w atmosferze błogiego lenistwa i zdrowego zmęczenia fizycznego. „Odchodzą" kawały, przyczem słuchacze są tak dobrodusznie nastrojeni, że bawi ich każdy dowcip, nie gniewa żaden docinek. A potem oczywiście



W opałach. Fot. J. Hołyński.

bridż — bridż po groszu, gdzie więcej jest śmiechu, niż gry w karty. Zresztą już o 9-ej wieczorem surowy łowczy zapędza wszystkich na salkę, bo o 6-ej rano pobudka. Jakże śpi się słodko po dniu spędzonym w puszczy!

*

Udało się tegoroczne polowanie. Przez 6 dni codziennie trąbka zwiastowała grubego zwierza. Raz otropionego wilka spłoszyła furmanka, która wjechała do ostępu po drzewo, tuż przed rozpoczęciem miotu. W ostatnim dniu, gdy pędzono wreszcie odyńca — zastano w miocie nie jednego dzika, a trzy. Szczęśliwie nie wyszły one na myśliwych. W tej północnej kniei były dotąd, i to bardzo rzadko, przechodnie odyńce. A tu odyniec i jeszcze dwie mniejsze sztuki! Niech zostaną, to może na przyszły rok będą dwie gromady warchlaków. W czterech miotach natomiast otropiony gruby zwierz wyszedł na linję strzału, zaś z tego co strzelano wszystko leżało, i to bez wyjątku na miejscu strzału. Padły 2 rysie i 3 wilki, zaś w małych pędzonkach jarząbkowo-bielaczych zabito 12 jarząbków, 23 bielaki i 23 szaraki.

Nie sam rozkład jednak sprawił radość uczestnikom polowania. Dopisała pogoda, puszcza okazała całą swoją krasę, codziennie strojąc się inaczej; wśród polujących nie było nikogo, ktoby nie pasował do pozostałych oraz do puszczy, ktoby nie czuł i nie widział uroków tego polowania, ktoby zazdrościł strzału sąsiadowi, narzekał na brak „anlaufu", nudził się na stanowiskach.

— Nie, mój przyjacielu, który sprowokowałeś mnie do napisania tych paru słów! Lubię sport strzelecki na polowaniach bażancich, zajęczych czy kuropatwich, lubię zresztą każde polowanie, ale czyż może być coś piękniejszego, jak opisane przeze mnie łowy kresowe, gdzie myśliwego w każdym miocie czeka przygoda: ranny ryś gotujący się do skoku, czy też poprostu jarząbek, który furknął tak niespodziewanie. A niech nawet jarząbek nie furknie, ryś czy wilk zamiast na myśliwego pójdzie na naganke — czyż sama możliwość spotkań tego rodzaju, sama możliwość przygody nie stanowi największego bogactwa dla myśliwych? W remizie bażanciej czy w kotle mogę mieć drobne zabawne przygódki, przygody zaś czekają na mnie w kniei, która obcemu wydaje się pusta, a dla nas kryje skarby.

To nazywamy prawdziwem polowaniem.

WŁADYSŁAW GIEYSZTOR

NA WILKI

Stacyjka zagubiona w śnieżystym obszarze...
Pęd sanny wyślizganej przy muzyce śniegu —
Droga jakby znajoma — rozjaśnione twarze...
Las biały zadumany... sanki wolnią biegu.
Cisza. Szadź. Śni mi się jakaś bajka biała...
Z świerków ktoś wyczarował tajemnicze groty...
Szept komendy. — Jak duchy, suniemy w szeregu.
Pąs flader. Stanowiska. W skroniach walą młoty!
Wzrok bada drzew skupiny i świerków podcienia,
Pragnienie kształt rysuje wyśniony nadzieją...
Stamtąd przyjdzie?... Nie, tędy!... Tutaj myśl się zmienia,
Sam na sam z ciszą leśną, z ośnieżoną knieją.
Czyje serca kołaczą w śnieżystym ostępie?
Kto zabiega o życie? Czyja chytrość kluczy?
Kto bacznie nasłuchuje odgłosów na zrębie?
Czyj los dzisiaj dopełnić — komu Bóg poruczy?
Myśl bada prawa bytu i losów kolisko,
Melancholję przemijań, zew krwi, sens istnienia...
Szelest! Wstrząs! Nic to przecież — to śnieg upadł blisko.
...I znowu coś się jawi z krainy marzenia...
Trąbka! Trąbka z oddali — pohukiwań głosy...
(Szept najcichszy na ustach pokornem zaklęciem:
„Hubercie święty — sam byłeś myśliwym,
Bądź więc i nam życzliwy — Patronie Myśliwy!")
War do głowy uderza, potem zrasza włosy.
Wtem strzał! jeden i drugi! gdzieś z prawego flanku
Rozdarł powietrze ostrym kulowym poświstem
I wskrzesił biczem huku instynkt praczłowieka,
Co nogi wparłszy w ziemię — wobec huku gromu
Stoi baczny i czujny, bez ruchu... i czeka.
Ucho rytm jakiś łowi — czy to serce bije?
Nie! Słychać jakiś tętent! Już bliżej! Już blisko!
Sylwetka szara zieleń igliwia roztrąca,
Łba ogrom, paszczy różowość dysząca —
Przyrzut! Strzał! Mój! O Boże, wszak leży wilczysko!
W ostatnim skurczu mięśni w śnieg zagłębia szyję...
Chyba huknąć z radości? Myśliwska ochota
Szczęściem chwyta za gardło, coś serce rozpiera!
Tymczasem chwila jedna nastrój cały zmienia,
Ręce dziwnie mi słabną, zwierają się szczęki
I stoję taka cicha — broń wypada z ręki —
Czczę kres jego żywota minutą milczenia...

Kamieńpol 15.I 1939. *Hanna Sokołowska*

NA LISY Z OBWŁOKĄ

Minęła wiosna, pełna emocjunujących przeżyć na tokach głuszcowych i cietrzewich, lub niezapomnianych chwil na polowaniach z krykuchą na cudowne kaczory. Za wiosną przemknęło niepostrzeżenie upalne lato, potem złota polska jesień i oto nadeszła upragniona, dawno oczekiwana zima. Zwierzyna dobrze już obrosła w puchy i pierze. To już nie były niezdarne podloty, lub młode kuropatwy dziesiątkami zabijane przez myśliwych. Zwierz i pióro stały się szybkie, ostrożne, nieuchwytne.



Z polowań z fladrami u p. Zana w Duksztach. „A ja, panoczku, mówiłem, że było trzy „wejdzięte", a jeden „wyjdzięty". Fot. W. Makowski.

Luty. Wszechwładna zima oddawna pokryła ziemię grubym śnieżnym całunem, chowając resztki pożywienia przed zgłodniałą zwierzyną. Stada kuropatw zbliżyły się do osiedli ludzkich, szukając żeru przy stogach zboża i zasypanych gumnach. Wilki i lisy stały się ruchliwe — polując na zające i myszy, przemierzają dziesiątki kilometrów. Głód ściska bardziej puste żołądki. Minęły złote czasy, gdy można było bezpiecznie łapać młode zajączki i kuropatwy. Bujne łany zbóż i kartoflisk przemieniły się w bezkresne śnieżne pola. I tylko gdzieniegdzie krwawe plamy jarzębin i głogów dawały punkt oparcia dla znużonego jednostajnością oka. Lecz ta szara, zdawałoby się, beznadziejna jednostajność miała swoich gorących wielbicieli, którzy, porzuciwszy ruchliwe miasta, śpieszą zaszyć się ze strzelbą w ręku w nieprzeniknione gąszcze zalesionych jarów i kniei, ażeby módz wczuć się w tętno zimowego życia i na te parę chwil, skradzionych miastu, zlać się z wszechpotężnem otoczeniem.

Sobotę miałem wolną, nie zastanawiając się więc długo, postanowiłem zapolować na lisy na poleskich terenach w powiecie prużańskim.

Najbliższy pociąg odchodził o godzinie 1.25 w nocy. Popołudniowe godziny zostały poświęcone na przygotowanie się do podróży. Uzupełniwszy naboje i kupiwszy artykuły potrzebne do zrobienia witerunku, byłem gotów do wyjazdu. Pozostawało tylko zadepeszować do Prużan, aby wysłano na stację konie, co wkrótce uczyniłem, oraz przespać się kilka godzin, gdyż ruch przedświąteczny prawdopodobnie nie da możności odpoczywać w wagonie. Przewidywania jednak nie sprawdziły się. Podróżujących było mało, tak że rano dnia następnego przebudziłem się rześki i wypoczęty.

Pociąg właśnie opuszczał po dłuższym postoju Brześć nad Bugiem, dążąc w kierunku Baranowicz. Przed oknami wagonu przesuwały się, jak w kalejdoskopie, poleskie krajobrazy. Jakże one zmieniły się ogromnie! Kiedy ostatni raz na wiosnę przejeżdżałem tędy, cała okolica zalana była wodą, a nieprzejrzane łąki, pokryte seledynową trawą, kołysały się miarowo w takt napływającego wiatru. Chmary kulików, kaczek, bataljonów i czajek tworzyły nieprzerwany chór ptasi. Powietrze dosłownie drgało od krzyków, pisków i szybko tnących skrzydeł. Teraz naokoło panowała cisza. Żadnego ptaka, prócz kilku wron i srok, nie można było zauważyć. Wszystko gdzieś znikło, pozostała pustka i martwota.

Jeśli ktoś chce przyjechać, aby zobaczyć Polesie, jak ono wygląda, to niech przyjeżdża w kwietniu, lub w maju, gdy łąki nie są jeszcze skoszone, a bujne życie wre w całej pełni. Wówczas odniesie wrażenie, które nazawsze zostanie niezatarte w pamięci. Zimą zaś Polesie jest tylko dla myśliwych, którzy potrafią je ocenić w każdej porze roku, nawet wówczas, gdy naokoło panuje martwota, wiejąca ze skoszonych łąk i przysypanych śniegiem pastwisk.

O godzinie 9.30 pociąg zatrzymał się, trzeba było wysiadać, gdyż była to końcowa stacja. Od Berezy do celu podróży było jeszcze $2^1/_2$ godziny jazdy końmi. Poleszuk i jego mały konik czekały oddawna.

— Pane, chodite — odezwał się Fedor, idąc naprzeciwko i zapraszając życzliwym ruchem ręki do sanek.

Usadowiwszy się wygodnie i otuliwszy się w kożuch, przezornie zabrany przez Fedora, kazałem poganiać. W czasie drogi toczyła się okolicznościowa rozmowa. Zapytany o zwierzynę, Fedor opowiadał:

— Pane — zwiriej w lisu je bohaćko, wczoraj wołky zjili sosidu troje sztuk husej, tilki zostałosia pirjeczko. A dykyje swyni wyryli wseńku bulbu, tak szczo zostałosia sameńkie kartoflinie. Teper troszku stały spokijnijszyje, a to dla toho, szczo w pole ne majut szczo jysty i wsi wołoczacia sia po lisi. Zoszłoho tyżnia jyduczy do olszynky po chworost, bo to baczyte chotiw poładyt rozwaliny płot, taj zwernów uwahu na mene kiń, katoryj upersia taj ne chotiw dalej jechat', udaryw joho batohom, a win jak neczysta syła opersia, taj chocz bery taj ryhny. Ja dumaw, szczo to wołky, rozhladujuś taj uhłedył wyłykoho, taj hornoho łosia o wyłykych, taj krasych rohah. Nadywywszyś, taj nadywuwaszyś, pojichałem w swoju dorohu. Dumaju szczo z puszczy Różańskij pryjszów w naszyji

storony. O tak, Pane, u nas je — zakończył z powagą Poleszuk.

Opowiadanie Fedora zrobiło na mnie głębokie wrażenie. Wiedziałem, że upolować wilka lub dzika bez specjalnie do tego ułożonych psów, w jedną lub dwie strzelby, nawet na Polesiu należało do rzadkości, a raczej do wypadków, gdyż zwierzęta te, pomimo znacznej ich ilości, zwłaszcza dzików, są nadzwyczaj ostrożne.

Dziwna jednak jest psychika myśliwego. Włóczy się całemi dniami po kniei i nawet strzału nie ma do czego dać, a jednak obcowanie chociaż na odległość z grubą niewidoczną zwierzyną i dziką przyrodą wytwarza zupełnie jakiś nowy, nieznany na zwykłych polowaniach nastrój. Ażeby to zrozumieć, trzeba przeżyć te chwile, które emocjonującym dreszczykiem podniecają myśliwego. Zmoknięty, zgłodniały, wraca do domu z czystemi lufami, jednak przeżycia, o jakie wzbogaciła się jego dusza, dają mu pełne zadowolenie i nie każą sądzić, że dzień został stracony. O nie! Niema straconych dni w puszczy dla tych, którzy idą odkrywać niezgłębione tajniki natury.

Tymczasem sanie wjechały do sosnowego boru, przez który trzeba było przejechać około pięciu kilometrów. Naokoło panowała cisza, czasami zakłócana stukiem różnobarwnych dzięciołów, które, przelatując z jednego drzewa na drugie, szukały pożywienia. Wreszcie las zaczął rzednąć i wkrótce przeszedł w piaszczyste wzgórza pokryte jałowcem. Na prawo w głębi płynęła wąską strugą Jasiołda, gubiąc się co chwila w swoich wysokich w tym czasie brzegach, ażeby znów dalej zabłysnąć srebrzystą taflą polerowanego lodu. Do wsi już było niedaleko. Wkrótce sanie, przejechawszy z wielkim hałasem długą groblę, wyłożoną okrąglakami, której najgłębszy śnieg nie zdołał nigdy przysypać, stanęły przed nową chatą. Cała sfora psów rzuciła się naprzeciwko ze szczekaniem i hałasem. Tylko Bej, stare wyżlisko, powstał ociężale z ganku i, kręcąc zadem, przeciągał się ospale. Gospodarz wybiegł na powitanie.



Z polowania na lisy z fladrami w Duksztach u p. T. Zana.
Fot. W. Makowski.

— Stefanie! Za dziesięć minut muszę mieć kota — krzyknąłem, podając nabity sześciomilimetrowy Francotte.

— Zająca? — zapytał Stefan, patrząc z niedowierzaniem i zupełnym brakiem szacunku na strzelbę. — Przecież mamy ochronę.



Ze sznurami na lisy. Z polowań Sport. Tow. Łow. w Wilnie.
Fot. Inż. E. Woynicki.

— Jakiego tam zająca, zwykłego domowego kota — tłustego Maćka — starałem się wytłomaczyć zdumionemu chłopu.

Zbity zupełnie z tropu, oddalał się Stefan w kierunku starej stodoły. Za chwilę stłumiony trzask wystrzału dotarł do mego ucha. Nikt na to nie zwrócił uwagi, ja zaś wiedziałem jakiego rodzaju tragedja rozgrywała się w stodole. Uśmiechnięta z zadowolenia twarz starego wygi utwierdziła mnie w przewidywaniach.

— Obielić ze skóry, obciąć ogon oraz łapy i rozpalić ognisko na dworze — wydawałem rozporządzenia, wyjmując z walizki nowy gliniany garnek, w celu przyrządzenia w nim tak zwanego witerunku.

Włożyłem do garnka kilogram szmalcu, trochę miodu, kalafonji, cebuli oraz jakichś pachnących ziół, które niegdyś dostałem od starego myśliwego, i postawiłem to wszystko na ogniu. Po ugotowaniu tego smakołyku zacząłem przygotowywać właściwą przynętę. Mięso kota oblewane pachnącym witerunkiem, smażyło się powoli na węglach, rozprzestrzeniając naokoło smakowity zapach pieczeni.

Poleszucy z ciekawością przyglądali się temu zabiegowi, kręcąc głowami, i z litością, podszytą lekką pogardą, patrzyli na mnie. Wszyscy byli przekonani, że przygotowuję dla siebie obiad. Tylko Stefan, zdawało się, domyślał się czegoś.

Gdy kot podrumienił się i stał się kruchy, zdjąłem go z rożna i, uwiązawszy do długiej tyki, zawiesiłem na drzewie w ogrodzie. Robota była skończona. Należało tylko czekać aż wzejdzie księżyc, aby rozpocząć właściwe przygotowania do polowania.

Wreszcie chwila upragniona nadeszła. Olbrzymi księżyc wytoczył swoje oblicze z za horyzontu, oblewając powodzią srebrzystego światła zaśnieżone okolice. Czas było zaprzęgać konia. Po paru minutach, załadowawszy do sań wszystko co było potrzeba do łowów, opuszczaliśmy wieś, kierując się pod puszczę Rożańską. Tam, na przestrzennych łąkach, pokrytych ostrowami i zarośniętemi wysepkami, spodziewałem się kilku lisów.



P. Konrad Niemojewski z lisami ubitemi w dublecie.
Fot. Gen. Cz. Jarnuszkiewicz.

Noc była dość zimna. Błyszcząca okiść pokrywała wyschniętą trawę i gałązki krzewów. Chłodne powietrze, wciągane do wewnątrz, setkami drobnych kolek przeszywało płuca. Wkrótce sanie zatrzymały się w tem miejscu, skąd miało rozpocząć się polowanie. Obrawszy stanowisko, na którem zamierzałem czatować na lisa, zabrałem się do roboty. W odległości około 30 kroków od zasadzki rozpocząłem pierwszy ślad, ciągnąc na dwumetrowym kiju obwłokę po śniegu, równolegle do sanek, uważając starannie, aby ślad robiony przez nią nie przeciął się ze śladem konia i sanek. W ten sposób zatoczywszy elipsę o średnicy około dwóch kilometrów, zamknąłem ślad od strony przeciwnej. Wyskoczywszy z sanek na uprzednio upatrzone miejsce, zaszyłem się w gęstwę jałowca, odprawiwszy sanki do domu.

Miejsce, mojem zdaniem, było dobrze obrane. Na prawo i na lewo wznosiły się nieduże wzgórza, pokryte jałowcem i starodrzewem. Miejscami pagórki łagodnie opadały i przechodziły w łąki, zarośnięte nieskoszoną, teraz oszronioną trawą, oraz kępkami tu i ówdzie rozrzuconych krzaków.

Dochodziła godzina 22-ga. Czekałem samotny, zdaleka od życia ludzkiego, odziany w baranie kożuchy, wpatrzony w niewyraźny ślad, pozostawiony przez sanie. Przede mną na horyzoncie czerniała ciemnym pasmem puszcza Rożańska. U jej stóp wąska Hotowa z sennym szmerem niosła skute lodem wody w kierunku odległej Jasiołdy. Cała okolica kąpała się z lubością w srebrzystej poświacie księżyca. Czasami lekki powiew wiaterku nadlatywał od strony puszczy i, łagodnie szeleszcząc po zmarzniętej trawie, rozpływał się i ginął za plecami.

Nagle na białem tle śniegu, pokazał się czarny punkcik, który powoli zbliżał się do mnie od przeciwnej strony puszczy. Złudzenia szybko znikły. Lis ostrożnym truchcikiem nadciągał pod wiatr, idąc w odległości kilku kroków od śladu. Znieruchomiałem. Wiedziałem, że najmniejszy ruch zdradzi moją obecność i wówczas wszystko przepadnie. Mykita w odległości kilkunastu kroków zatrzymał się na chwilę. Widocznie wybierał ze śniegu drobne kawałki przynęty. Skorzystałem z tego momentu. Powoli podniosłem broń i strzeliłem. Trwało to jedną, lub dwie sekundy. Mnie wydawało się wiecznością.

Ciągle obawiałem się, że spłoszę lisa, że nie dojdę do strzału, że mykita zniknie gdzieś bezpowrotnie. Obawy moje na szczęście nie sprawdziły się. Lis, rażony kilkoma śrutami, został na miejscu. Stało się to w 44-ej minucie od chwili, gdy wyszedłem z sanek. Był to pies. Dziwnym trafem wszystkie trzy lisy zabite przeze mnie w tym sezonie były psami.

Na końcu chcę wspomnieć o innym rodzaju polowania, o którym opowiadał mi pewien myśliwy. Osoba myśliwego nie nastręcza żadnych wątpliwości co do prawdziwości słów. Polowanie odbywa się w sposób następujący. Zauważywszy lisa w odległości 400—500 kroków na czystem polu, myśliwy chowa się w krzak, starając się ukryć pod wiatr i strzela ze sztucera do lisa, starając się go zgórować. Lis, usłyszawszy z tyłu gwizd przelatującej nad sobą kuli, ucieka w kierunku przeciwnym, to znaczy do strzelca. Huk wystrzału z dużej odległości nie wskazuje właściwego kierunku. Po kilku oddanych strzałach, do odległości 200 metrów, zaprzestaje się strzelania i oczekuje się na zbliżenie lisa, który, idąc w tym samym kierunku, podchodzi często na odległość śrutowego strzału. W ten sposób wyżej wspomniany myśliwy zabił kilka lisów, jednego nawet na 29 kroków.

EDWARD BOHDANOWICZ

NOWE STANOWISKA BOBRÓW W GRODZIEŃSZCZYŹNIE

Już od szeregu lat moje letnie wakacje, jak i wogóle wszelkie dni wolne od zajęć i pracy, najczęściej spędzam na wałęsaniu się po Grodzieńszczyźnie, prowadząc przytem, w miarę możności, obserwacje nad objektami, godnemi ochrony.

Rok 1938-my dla tej sprawy był rokiem wyjątkowo pomyślnym i to ze względu na to, iż w tym czasie udało mi się wykryć na naszych terenach trzy nowe stanowiska bobrów, z których jedno ujawniłem w Kowszowie, drugie — w Ławnie i trzecie nad brzegami rz. Czarnej Hańczy przy jej ujściu do Niemna. Chcę podać tu chociaż pobieżny przegląd rozwoju owej sprawy.

Podczas jednej z kajakowych wycieczek zatrzymałem się w celach wypoczynkowych na jednej z trzech dość dużych wysp, położonych o 40 klm. na południowy-wschód od Grodna, koło wsi Kowszowo, w gminie skidelskiej. Tutaj, całkiem przypadkowo, natrafiłem na świeżo pocięte przez bobry drzewa wierzby i łozy. Szczegółowsze badania tego terenu już wyraźnie mi wskazały na istnienie tutaj bobrów od kilku lat, bowiem znalazłem liczne „gryzki", ich ścieżki i nory, oraz resztki dwóch „chat" bobrowych, niestety, spalonych przez tutejszych pastuszków. Te fakty odrazu mnie przekonały o konieczności założenia tu rezerwatu bobrowego, który miałby znaczenie nietylko dla ochrony samego bobra na terenie Grodzieńszczyzny, gdyż zabezpieczyłby i otoczyłby należytą opieką nową rodzinę tych tak rzadko spotykanych a zanikających zwierząt, ale w tym wypadku spełniłby jeszcze i inne wyjątkowe zadanie, bowiem, jako rezerwat, będąc niecodzienną, swoistą atrakcją, ponadto jeszcze bardziej ożywiłby i wzmocnił turystyczny ruch zwiedzających grób „Jana i Cecylji" w Bohatyrowiczach, odległych o 3 klm. od wspomnianych wysp, zamieszkałych przez bobry.

W tym celu zwróciłem się do Komitetu Ochrony Przyrody w Warszawie z gorącą prośbą o poczynienie w jaknajbliższym czasie usilnych starań, któreby spowodowały utworzenie wyżej wymienionego rezerwatu, co, uważam, nie nastręczyłoby dużych trudności, ponieważ wspomniane wyspy są własnością państwową i pozostają obecnie pod zarządem państwowego Urzędu Dróg Wodnych w Augustowie. Celem zaś spowodowania natychmiastowej ochrony tego tak rzadkiego a zarazem pięknego, miłego i wartościowego zwierzęcia, prosiłem grodzieńskiego pana starostę o szybkie wydanie następujących zarządzeń.

1) Gospodarzom wsi Kowszowo, którzy, nieprawnie korzystając z owego państwowego terenu, zazwyczaj wpław przepędzali swoje bydło i konie na tutejsze pastwisko, zabronić tego.

2) Zabronić wycinania łozy i wierzby nietylko osobom prywatnym, ale i Zarządowi Dróg Wodnych, gdyż obfitość pokarmu jest głównym warunkiem przebywania tutaj bobrów.

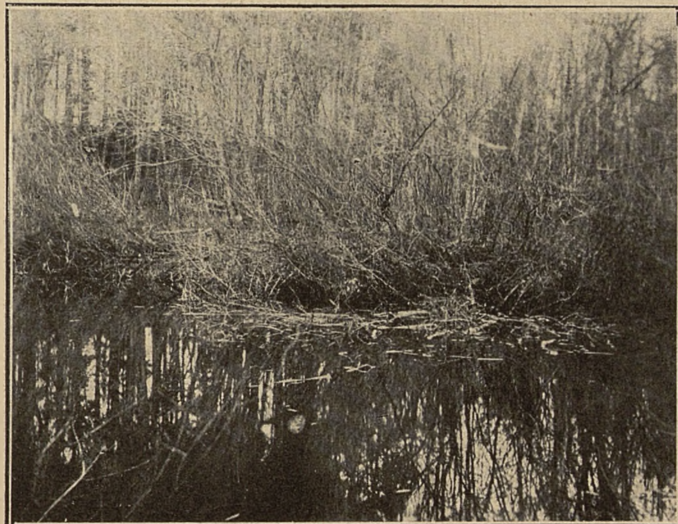
3) Zabronić łapania ryb przy brzegach tych wysp i w ich najbliższem sąsiedztwie, jak również wyciągania na ich brzegi sieci rybackich.

4) Zabronić używania na wyspach kąpieli, tak bardzo rozpowszechnionej wśród letników sąsiednich letnisk.

5) Zabronić wogóle przebywania na wyspach, jak również urządzania tutaj wszelkich postojów rybakom, kajakowcom i t. p.

6) Postawić ostrzegawczą tablicę z odpowiednim napisem.

Dzięki przychylnemu stanowisku p. starosty grodzieńskiego i p. kierownika Zarządu Dróg Wodnych w Augustowie, a także dzięki energicznej akcji Komitetu Ochrony Przyrody w Warszawie, dziś na tych wyspach o powierzchni około 10 hektarów mamy utworzony rezerwat bobrowy, gdzie już dotychczasowa, nawet tak krótka ochrona dała bardzo pomyślne wyniki.



Projektowany rezerwat bobrowy w Ławnie pod Grodnem. Nad brzegiem „magazyn" na zimę. Fot. Inż. J. Kochanowski.

Oto na początku grudnia ub. r., zwiedzając owo stanowisko, ogromnie cieszyłem się licznemi i to świeżemi śladami żerowania bobrów w postaci pociętych drzew, okorowanych gałęzi i dużej ilości ścieżek; nawet w jednem miejscu, tuż nad brzegiem wyspy, wprost w wodzie, i to mimo szybkiego prądu Niemna, został w charakterystyczny sposób nagromadzony ze ściętych gałęzi materjał zapasowy na zimę. Jest to typowy tak zwany „magazyn".

Obecnie jestem głęboko przeświadczony, że ten rezerwat, założony na wyspach Niemeńskich w Kowszowie pod Grodnem, spełni w przyszłości jeszcze i inne ogromne ważne zadanie. Będzie on „deską ratunku" dla spływających, przeważnie na wiosnę, z góry Niemna, bobrów, które, niestety, zazwyczaj padają ofiarą kłusowników lub rybaków, a obecnie w tym rezerwacie znajdą dla siebie ostoję i bezpieczne schronienie.

Drugiem nowem stanowiskiem bobrów w Grodzieńszczyźnie jest brzeg Niemna w majątku Ławna, położonym w odległości około 4 klm. w górę Niemna od poprzedniego żeremia na wyspach w Kowszowie.

O tem stanowisku dowiedziałem się całkiem przypadkowo. Jeden z moich byłych uczniów, a obecnie

inżynier-geometra, dokonując pomiarów geodezyjnych na gruntach majątku Ławna, zauważył nad brzegiem Niemna patyki łozy, jakby pocięte przez bobry. O tem swojem spostrzeżeniu dał mi znać. Natychmiast udałem się na miejsce i tutaj, po dłuższych poszukiwaniach, a następnie po szczegółowo przeprowadzonych badaniach terenu, stwierdziłem, iż bobry istotnie tutaj są, zamieszkują to stanowisko już od dłuższego czasu, aczkolwiek liczby ich ustalić nie mogłem, w każdym bądź razie jest ich przypuszczalnie kilka sztuk, na co wskazywałyby liczne, świeżo ścięte drzewa, spory „magazyn" oraz inne dowody, jak wielka ilość „gryzków", nory, duża ilość ścieżek, wydeptanych na brzegu znajdującego się tutaj jeziorka, a także zapoczątkowana budowa „chaty".



Projektowany rezerwat bobrowy w Ławnie pod Grodnem. Widok na jeziorko. Fot. Inż. J. Kochanowski.

Teren zajęty przez bobry, chociaż nieduży, jednak do życia bobrów jest poprostu idealny, gdyż wszystko wskazuje na bardzo dogodne warunki bytowania zwierząt. Jest to jak gdyby nieduża łacha, której wzniesione brzegi są porośnięte laskiem (15—20 lat) i zaroślami. W lesie, bliżej Niemna, rosną: wierzba, olcha, dalej nieco — osina, a jeszcze dalej — brzoza i sosna. Brzegi Niemna, a szczególnie brzegi jeziorka, gdzie właśnie przeważnie przebywają bobry, są porośnięte gęstą łozą, coprawda dziś dość mocno przetrzebioną; obok łozy spotykamy porzeczkę, kruszynę, krzywą, a to wszystko jest przeplatane chmielem i pokrzywą. W samem jeziorku widzimy grzybień żółty, tatarak, trzcinę wodną, moczarkę, skrzyp błotny i inne.

A więc, jak już wspomniałem, istotnie warunki terenowe dla życia bobrów są tutaj wymarzone i tak idealnie dobry, że nawet można byłoby tutaj prowadzić ich hodowlę w warunkach wprost naturalnych oraz z łatwością czynić najrozmaitsze naukowe obserwacje nad biologją tego gryzonia, która jeszcze mało jest u nas znana.

Ponieważ z powodów wyżej wymienionych to stanowisko przedstawiało szczególną wartość z punktu widzenia ochrony przyrody, uważałem za wskazane, a właściwie wprost za konieczne wydzielić z terenów majątku Ławna część obszaru o powierzchni około 5—6 hektarów, celem założenia na nim małego ale wzorowo prowadzonego bobrowego rezerwatu. Należałoby to zrobić koniecznie i to jaknajprędzej, jeszcze tembardziej, iż na omawianym terenie jest zamierzona budowa fabryki celulozy, a więc zachodziłaby uzasadniona obawa całkowitego zniszczenia opisanego pięknego stanowiska.

W tym celu zwróciłem się do Komitetu Ochrony Przyrody w Warszawie z prośbą przeprowadzenia pertraktacyj z nowym nabywcą majątku Ławna, spółką akcyjną „Celuloza Nadniemeńska", o wydzielenie wspomnianych 5—6 hektarów (patrz fotografję projektu rezerwatu) z ich ogólnego obszaru, jako terenów gospodarczo nieużytkowanych, celem założenia tutaj rezerwatu bobrów.

Przedstawiciele sp. akc. „Celuloza Nadniemeńska" pp. inż. Trepka i inż. Czerwiński, bardzo przychylnie ustosunkowali się do naszej sprawy i wyrazili zgodę na jej zrealizowanie, zaofiarowując jednocześnie ze swej strony chęć postawienia ogrodzenia projektowanego rezerwatu własnym kosztem. Tak obywatelskie podejście i poważne potraktowanie tej sprawy zmusza mnie do złożenia na tem miejscu najszczerszego podziękowania.

Dzięki przed chwilą wspomnianym okolicznościom, sprawa zaprojektowanego rezerwatu bobrowego w Ławnie pod Grodnem przedstawia się obecnie bardzo dobrze: dziś już są czynione wszelkie wstępne prace związane z jego ogrodzeniem, a na wiosnę zostanie on nawet zasadzony na wszystkich możliwych miejscach łozą, wierzbą, osiną i topolą.

Wreszcie przechodzę do sprawy trzeciego stanowiska bobrów. Coprawda o tem żeremiu bobrowem jeszcze przed kilku laty wspominałem p. prof. dr. Wł. Szaferowi, ale wówczas, niestety, posiadałem o niem bardzo skromne dane. Teraz zaś, po dokładniejszem zbadaniu owych żeremi, chcę podzielić się swemi uwagami i to nietylko co do ich stanu obecnego, ale również i co do ochrony w przyszłości.

Otóż tem trzeciem nowem żeremiem bobrowem jest stanowisko nad brzegami rz. Czarnej Hańczy w pobliżu ujścia jej do Niemna. Wobec dość gęstego zaludnienia tego odcinka Czarnej Hańczy, tutejsze bobry są stale niepokojone i płoszone przez rybaków, jak i pastuchów, a szczególnie przez chłopców — koszykarzy, którzy, stale wałęsając się nad brzegami rzeki, niemiłosiernie wycinają łozę na wyrób koszyków. Łozy, niestety, jest tu coraz mniej, a jeśli tak dalej pójdzie, może nawet zupełnie zabraknąć, a jak wiadomo, jest ona główną podstawą bytowania bobrów.

Oczywista, przy tak ciężkich warunkach życia, tutejszy bóbr, stale niepokojony, coraz to płoszony, musi zmieniać miejsce swojego postoju i żerowania, czego dowodem są liczne nory na całej długości rzeki, od wsi Kadysz Rządowy do samego ujścia do Niemna. Szczególnie dużo tych nor widzimy przy brzegach Czarnej Hańczy na terenach wsi Sieniewicze, Storaczki i Zacisze, mniej nieco — na terenach wsi Zielonka, Hołowieńczyce i Poczobuty (patrz mapę sztab. Pas 33, Słup 37, „Sopoćkinie"). Niektóre nory są tak duże, że 12-letni pastuszek z łatwością w nich się rusza. Wątpię bardzo, by mogła być to praca wyłącznie tylko bobra, ponieważ na wiosnę, myślę, iż woda je rozmywa. Do jednej z takich dużych nor sam właziłem: długa około 40—50 metrów, a po prawej i lewej stronie wybiegały od niej w rozmaitych kie-

runkach liczne odgałęzienia, będące również norami bobra, ale już o normalnej wielkości.

W każdej norze znajdziemy sporo wiórów oraz gałęzi i patyków, okorowanych przez bobry. Dzięki takiemu „bobrowaniu", brzegi Czarnej Hańczy są tutaj bardzo niepewne przy chodzeniu po nich, gdyż grunt pod nagami stale zapada, a pasące się bydło, wpadając do takich nor, często grzęźnie tak głęboko, że nawet ludność musi je ratować.

Oprócz nor nie brak tu wszędzie i innych śladów bytowania bobrów: tu pocięta łoza, tam wierzba lub olcha, a gdzieindziej — resztki chat, zniszczonych przez pastuchów lub koszykarzy. Ile jest tutaj bobrów, tego nie wiem, bowiem ustalenie ich liczby w dzisiejszych warunkach staje się całkiem niemożliwe.

Zachodzi teraz pytanie, jakże te bobry i ich żeremia zabezpieczyć od zagłady? Co należy czynić, by na przyszłość otoczyć je należytą ochroną i opieką? Jest to sprawa bardzo, bardzo trudna!

Jak już zaznaczyłem wyżej, tereny na których przebywają bobry, nie należą do jednego właściciela, lecz do wielu gospodarzy, z których część może nawet i chciałaby uchronić te rzadkie zwierzątka, ale cóż, kiedy pastuchy i koszykarze, wałęsając się całemi dniami nad brzegami rzeki, oraz rybacy—kłusownicy, wyłapujący resztki ryb sposobami przeważnie niedozwolonemi i nie we właściwym czasie, bo w nocy, stale płoszą bobry, stale niszczą ich żeremia, a nawet zapewne zastawiają rozmaite pułapki z myślą ich schwytania. Nieraz już dochodziły poboczne wiadomości o znalezieniu resztek bobra bądź w postaci szkieletu, bądź — o sprzedaniu skórki bobrowej handlarzom — żydom. I jakże temu zaradzić?



Rezerwat bobrowy w Rybakach pod Grodnem. „Chata" bobrów. Fot. Inż. J. Kochanowski.

W dzisiejszych warunkach jedynym radykalnym środkiem, mogącym naprawdę zabezpieczyć przed zagładą i doszczętnem zniszczeniem wymienione żeremia, będzie, jak mi się zdaje, wydanie w tej sprawie ostrych zarządzeń i ścisłe dopilnowanie ich nietylko przez władze administracyjne, ale przedewszystkiem przez Korpus Ochrony Pogranicza, który na tym odcinku Czarnej Hańczy, jako leżącym w pobliżu granicy litewskiej, jest głównym czynnikiem ładu i porządku, z którego zarządzeniami miejscowa ludność bardzo się liczy i zawsze jaknaskrupulatniej je wykonuje.



Rozerwat bobrowy w Rybakach pod Grodnem. „Magazyn" gałęzi wierzby i łozy — tworzący zarazem „tamę" i „mostek". Fot. Inż. J. Kochanowski.

W tym to celu zwróciłem się do Komitetu Ochrony Przyrody w Warszawie z propozycją znalezienia odpowiedniej drogi do porozumienia się z dowództwem K.O.P.'u i przedstawieniu prośby po uprzedniem szczegółowem wyjaśnieniu znaczenia całej sprawy, o przychylne jej potraktowanie przez wydanie ostrego rozkazu dowódcom strażnic granicznych w Igorce i Kotach, którzyby:

1) pouczyli miejscową ludność o konieczności ochrony bobrów i ich żeremi;

2) zabronili łapania ryb na wyżej wymienionym odcinku Czarnej Hańczy (od Kadysza Rządowego do jej ujścia), co jest całkowicie do zrealizowania, gdyż leży ona w strefie przygranicznej;

3) zabronili chodzenia po tych terenach wszystkim, prócz właścicieli, których jednocześnie należy zobowiązać do niewycinania drzew i krzewów (łoza, wierzba, olcha) nad samym brzegiem rzeki — przynajmniej w pasie szerokim na 5 — 6 metrów od brzegu, który należy zostawić nienaruszony. Ten punkt jest szczególnie ważny, gdyż pas takiej roślinności rzeczywiście będzie służyć bobrom nietylko jako główne źródło pokarmu, ale i jako miejsce schronienia. Ostatnio w związku z komasacją terenów wsi, leżących nad Czarną Hańczą, gospodarze przystąpili wprost do zupełnego wytrzebienia resztek drzewiastej roślinności (np. wsie: Horaczki, Sieniewicze, Zacisze i inne);

4) zwiększyli nieco obwód patrolowania w ten sposób, by patrol przechodził częściej i bliżej żeremi bobrowych, co, oczywista, wpłynęłoby bardzo dodatnio na możliwość dokładnego dopilnowania wyżej wymienionych zarządzeń.

Oto są propozycje i wnioski, zrealizowanie których może, uważam, przyczynić się do uratowania i zabezpieczenia bobrów wogóle na Czarnej Hańczy.

JAN KOCHANOWSKI

DOŻYWIANIE ZWIERZYNY A NAWOZY SZTUCZNE

Od lat mniej więcej sześćdziesięciu, a ściślej od czasu masowego stosowania nawozów sztucznych, trwa w literaturze łowieckiej spór o to, czy i w jakiej mierze nawozy sztuczne odbijają się szkodliwie na zdrowiu i rozwoju zwierzyny łownej.

Że nawozy sztuczne w czystej postaci zawierają składniki trujące, to przyznają nawet najżarliwsi ich obrońcy. Dotyczy to zwłaszcza soli azotowych (azotniak, saletra chilijska i t. p.), oraz soli potasowych (kainit, sylwnit i t. d.), zaś nawozów fosforowych (superfosfat, tomasyna i t. d.) w tych wypadkach, gdy zanieczyszczone są kwasem fluorowodorowym lub arszenikiem. Szkodliwe działanie tych nawozów neutralizowane jest jednak, a przynajmniej znacznie osłabione przez to, że są łatwo rozpuszczalne, w związku z czem nawozy rozsiane powierzchownie np. na łąkach, szybko wsiąkają w grunt pod działaniem nawet rosy, zaś na polach są zazwyczaj zaorywane.



Wieczorny pokot u p. J. Koźmiana w Wierzchowiskach (vide „Kronika" str. 127).

To też nie o bezpośrednią szkodliwość nawozów toczy się już dzisiaj spór, ale o ich działanie pośrednie na zwierzynę, żywioną roślinami wyhodowanemi na nawozach sztucznych.

Bezwzględni zwolennicy intensyfikacji kultury rolnej i leśnej przez coraz większe stosowanie nawozów sztucznych nie ustają w sławieniu znakomitych wyników, osiąganych na tej drodze. Przytaczają liczby wzrostu w roślinach takich składników, jak skrobia, cukier, białko, podają zwiększenie wydajności zbóż i traw z 1 ha, ilustrują to zestawieniem zdjęć z poletek nawożonych i nienawożonych i t. d.

W konsekwencji twierdzą oni, że i przy dożywianiu zwierzyny należy w najszerszym stopniu stosować nawożenie pólek, zakładanych w lesie dla celów hodowlanych, i przytaczają przykłady, jak to zwierzyna, mając do wyboru pólka nawożone i nienawożone, daje pierwszeństwo pierwszym. Idąc dalej w tym kierunku, fanatycy nawozów sztucznych wzywają do posypywania niemi halizn leśnych, rowów i miedz, aby w ten sposób uprzystępnić wszelkiej zwierzynie korzystanie z dobrodziejstw nawozów sztucznych, wzbogacających glebę w trzy zasadnicze jej składniki odżywcze: azot, potas i fosfor.

Temu kierunkowi „intensyfikacji" hodowli zwierzyny, w którym niepoślednią rolę odgrywała umiejętna reklama producentów i handlarzy nawozów sztucznych, zaczyna coraz bardziej przeciwstawiać się krytyczna opinja świata łowieckiego. Uwagę na ujemne skutki przekulturalnienia pól, łąk i lasów zwróciła obserwacja nad stałem zmniejszaniem się odporności zwierzyny na zarazy, w szczególności motylicy, nad coraz częstszem zjawiskiem nienormalnych poroży u sarn i jeleni, nad wzmożonem ogryzaniem przez zwierzynę kory drzew szpilkowych, prawie nieznanem w miejscowościach o kulturze rolnej pierwotnej. Te same zjawiska utraty odporności na choroby w miarę wzrostu stosowania nawozów sztucznych występują równolegle i u zwierząt domowych. Takich zniszczeń, jakie szerzyła ostatnio choroba pyska i racic wśród bydła, czerwonka wśród trzody chlewnej, a wodna puchlina wśród karpi stawowych — tam gdzie stosowano nawozy stawowe — nie obserwowano nigdy.

Wytłomaczenie przyczyn, powodujących te skutki ujemne, nie jest trudne.

Rośliny — czy to będą trawy, zboża czy okopowe — wyrosłe na glebie od lat zasilanej przez nawozy sztuczne, ulegają stopniowemu zwyrodnieniu. Gromadzą się w nich w większej, niż w normalnej roślinie, ilości składników zasadniczych stosowanych nawozów, co, wzmagając wzrost, powoduje równocześnie zmianę wartościową rośliny, jako karmy. Tem szybkiem zwyrodnieniem rośliny tłomaczy się właśnie powszechnie zauważona konieczność częstej zmiany nasion siewnych i sadzeniaków, aby w ten przynajmniej sposób zapobiedz karłowaceniu ziarna czy ziemniaków. A już logicznem następstwem spożywania przekulturalnionej, zwyrodniałej paszy jest osłabienie odporności żywotnej u karmionych tą paszą zwierząt domowych, a zjawisko nietylko utraty odporności, ale i zwyrodnienia — u zwierzyny łownej.

Zwierzęta domowe powstały w drodze oswajania zwierząt dzikich. Można więc i zwierzynę łowną nietylko tak oswoić, aby się ludzi nie bała, ale i karmić ją w ten sposób, co krowy czy świnie. Dlatego też zupełnie możliwe są wypadki, że jelenie czy sarny, stale dokarmiane zbożem czy sianem z pól nawożonych, będą chętniej się pasły na polach uprawnych i nawiezionych, niż na łąkach leśnych, dzikich. Ale to nie będzie już zwierzyna dzika, wolna, ale raczej bydło hodowane w zwierzyńcu dla polowań reprezentacyjnych, pozbawione samodzielności i całego z tem związanego uroku.

Do tej samej kategorji hodowli słusznie zalicza p. Coester *) sztuczne tuczenie jeleni wytłoczynami sezamowemi na farmie w Schneebergu. Jednostronny ten kierunek hodowli, nastawiony wyłącznie na wykształcenie wieńców, daje istotnie potworne korony, ale czy tak ma wyglądać jeleń na swobodzie, w górach, z tem wolem tłuszczowem na szyi, z tą nieruchawością tułowia?

Kto chce mieć w swojem łowisku zwierzynę prawdziwą, nie parkową, nie wydelikaconą, zbędnemi zabiegami, osłabiającemi jej szanse w walce o byt —

*) „Wild und Hund" Nr 38/1938.

w walce, która była i zawsze pozostanie głównym regulatorem życia w naturze — powinien dbać o to, aby nie zniekształcać warunków pożywienia, jakie przyroda dla utrzymania danego gatunku ustaliła. W lesie pierwotnym, nie zastąpionym jeszcze przez jednolite drzewostany szpilkowe bez podszycia, żadnych wogóle zabiegów w kierunku dodatkowego dokarmiania przedsiębrać nie potrzeba. Jedynie w okresie wyjątkowo śnieżnej i mroźnej zimy wskazanem jest usuwanie zapomocą pługów śnieżnych zbyt wysokiej pokrywy śniegu, aby ułatwić zwierzynie dostęp do pokrywającej ziemię szaty roślinnej.

Cytowany już autor, p. Coester, przytacza fakt, iż podczas ciężkiej zimy 1928/9 r. największe straty w zwierzostanie poniosły łowiska, w których stosowano forsowne dożywianie jeleni i sarn. Większość zwierzyny padła z powodu zapalenia płuc, gdyż tłocząc się przy pastwiskach w oczekiwaniu karmy zaziębiała się z braku ruchu. Tymczasem tam, gdzie zwierzyny nie dokarmiano, była ona z konieczności w ciągłym ruchu, zmuszona do poszukiwania i odgrzebywania z pod śniegu paszy, i aczkolwiek wychudła, ale przetrwała zimę daleko pomyślniej.

Niestety, lasów pierwotnych jest u nas coraz mniej i dlatego zachodzi często potrzeba uzupełniania braku naturalnej paszy dla zwierzyny przez jej dożywianie. Otóż jedynym przepisem na to musi być nakaz — naśladowania przyrody, nieodbiegania od wzorów przez nią dostarczanych. Najracjonalniejszą metodą dożywiania zwierzyny jest nietyle zakładanie osobnych pólek w lesie, co wyzyskanie wszelkiej wolnej przestrzeni, a także zboczy dróg, rowów i t. p., aby na nich przywrócić te rośliny, które „intensyfikacja" gospodarki leśnej usunęła, a które stanowią normalne pożywienie zwierzyny. Są to trawy wszelkie i chwasty, byliny, wrzosy, jagody wszystkich rodzajów, dzikie koniczyny i wyki, przetaczniki (Veronica) w 30 gatunkach, wierzbówki (Epiloburni) w 15 gatunkach, rdest, esparceta, arnika, i setki innych roślin do wierzby, krzewów rozmaitych oraz trzciny i sitowia włącznie. Poza właściwościami odżywczemi wiele z tych roślin posiada także znaczenie lecznicze, dzięki czemu właśnie zwierzyna spożywająca je staje się odporna na wiele schorzeń, nagminnie szerzących się wśród zwierzyny parkowej. Przy zakładaniu tego rodzaju paśników naturalnych mowy być nie może naturalnie o jakimkolwiek „zasilaniu" ich nawozami sztucznemi i to zarówno dlatego, aby zapobiedz degeneracji roślinności, jak i z tego powodu, że znaczna część tych roślin, i to najpoważniejszych np. wrzosy, arnika i inne, giną wprost od działania nawozów.

Odbudowa naturalnego poszycia lasów wymaga, oczywiście, czasu, to też przejściowo trzeba wówczas dokarmiać zwierzynę również karmą dostarczaną z zewnątrz. Ale i tu kierować się należy zasadą zadawania pokarmu najbardziej zbliżonego do naturalnych środków odżywczych; a więc gałęzi drzew liściastych, wrzosu dowożonego z innych okolic, słomy owsianej, kasztanów, buczyny, żołędzi, siana z łąk nienawożonych, zrzynów buraczanych.

Tyle co do wskazówek konkretnych, opartych na uważnej obserwacji i wieloletniej praktyce wybitnych hodowców zwierzyny. Jeżeli chodzi o naukowe uzasadnienie wadliwości odmiennego kierunku, opartego o intensywne dożywianie zwierzyny roślinami, sztucznie pędzonemi na nawozach sztucznych, to sprawa ma tak poważne poparcie, jak studja szwajcarskiego instytutu naukowo-badawczego „Goetheanum" w Dornach, którego dyrektor, E. Pfeiffer, ogłosił świeżo pracę p. t. „Fécondité de la terre". Na podstawie wyczerpującej statystyki stwierdza on fakt powszechnego spadku zbiorów zbóż i traw z hektara uprawianej ziemi tam, gdzie od lat szeregu stosowano systematyczne nawożenie pól i łąk nawozami sztucznemi. Za przyczynę tego zjawiska uważa autor zahamowanie procesów biologicznych i życia organicznego gleby. Stałe dawki mineralnych nawozów sztucznych zabijają bakterje, których działalność odgrywa tak olbrzymią rolę w procesach rozkładu mineralnych składników gleby i nadaniu im postaci przyswajalnej przez rośliny. Ilość bakteryj w glebie i produktów ich rozkładu określana jest na 800 kg. na 1 ha powierzchni, co samo świadczy, jak olbrzymią stratę ponosi gleba, jeżeli tego czynnika zabraknie. Od działania nawozów chemicznych giną również dżdżownice, będące kanalizatorami gleby i udostępniające przenikanie powietrza i wody wgłąb, co jest nieodzownym warunkiem urodzajności gleby, jak to stwierdził jeszcze Darwin.



Kuna leśna. Fot. Wł. Szołkotowicz.

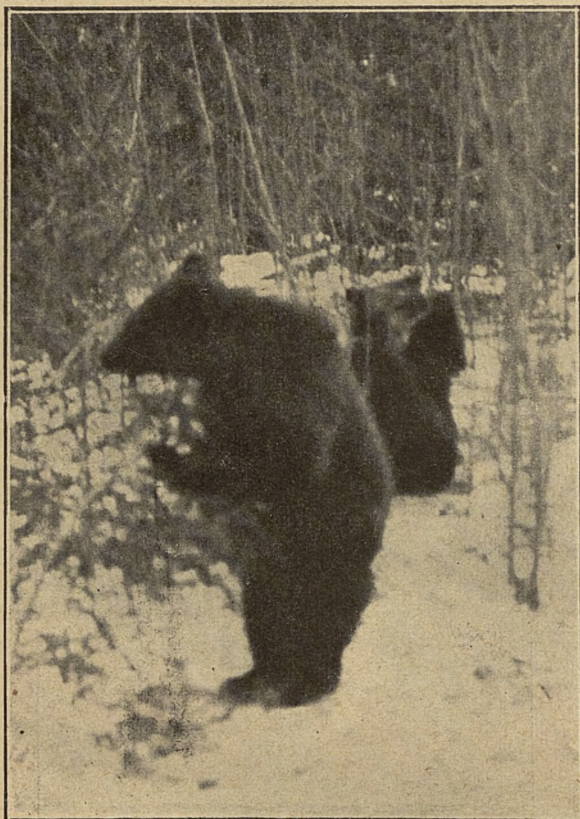
Pod wpływem długotrwałego stosowania nawozów sztucznych gleba staje się nieprzepuszczalnym aglomeratem soli wyłącznie mineralnych, pozbawionym składników organicznych i niezdolnym przeto do zapewnienia kultywowanym na niej roślinom normalnych warunków rozwoju. Zboża i trawy wyhodowane na takiej glebie wyrodnieją, zniekształcają swe właściwości odżywcze, a odżywiani niemi ludzie i zwierzęta tracą na odporności żywotnej.

J. GIEYSZTOR

R O Z M A I T O Ś C I

NIEDŹWIEDŹ W LASACH ORD. NIEŚWIESKO KLECKIEJ.

W trosce o podniesienie i urozmaicenie zwierzostanu w lasach Ordynacji Nieświesko-Kleckiej, obecny Ordynat Leon Ks. Radziwiłł, nie szczędząc trudu i kosztów, sprowadził z ogrodu zoologicznego w Zamościu, przyszłe tam na świat przed rokiem, 3 niedźwiadki (dwie samice i jednego samca). Zostały one umieszczone narazie na małym, bo ½-hektarowym, ogrodzonym obszarze, specjalnie przygotowanym w lasach nadleśnictwa Deniskowickiego, przy granicy lasów sąsiedniego nadleśnictwa Chominkowskiego. Ogólny obszar tych dwóch nadleśnictw wynosi 40.000 ha lasów, bagien-nieużytków i łąk leśnych w jednym nierozerwanym kompleksie, przeciętym rzeką Łanią, o wybitnie poleskim charakterze.



Fot. K. Zienkiewicz

Nadleśnictwo Deniskowickie od wieków stanowiło ostoję niedźwiedzi, łosi, dzików i rysi. Na ten teren zostanie wypuszczona na wolność niedźwiedzia rodzina, gdy lasy deniskowieckie zaobfitują we wszystkiego rodzaju płody leśne, w celu rozmnożenia tych królewskich zwierząt i przywrócenia dawnej, a tak sławnej historji lasów ordynacji.

Tymczasem trójka „misiów" znajduje się z polecenia Księcia Ordynata pod bardzo troskliwą opieką administracji lasów ordynacji, zorganizowaną w ten sposób, by mili ci goście nie mieli niemal wcale styczności z człowiekiem. Pokarm podaje się przez wąski otwór w budce obserwacyjnej, nad parkanem zagrody, wybudowanej z wejściem od zewnątrz, tak, że niedźwiadki człowieka nie widzą. Menu składa się z jarzyn, kasz i ziemniaków (mięso wyłączone).

Półtoramiesięczny pobyt misiów w lasach deniskowickich zaznaczył się już częściowem ich zdziczeniem. Podczas gdy po przywiezieniu z Zamościa zbliżały się do człowieka, gdy tylko wkroczył do zagrody, i zachowywały się spokojnie, to już po miesiącu podchodziły z pewną nieufnością i natychmiast uciekały w gąszcze.

Po pierwszym opadzie śnieżnym, w dniu 21 grudnia r. ub. ułożyły się misie do snu zimowego w jednym z trzech szałasów z gałęzi świerkowych. Zapadnięcie w sen zimowy poprzedzał dość charakterystyczny i zabawny fragment: oto pomimo dość obfitej ściółki w szałasach, w postaci słomy i siana, niedźwiadki zgrzebywały liście i wciągały je do szałasu, obranego jako legowisko zimowe.

Oby podjęta przez Księcia Ordynata inicjatywa rozmnożenia niedźwiedzi w lasach ordynacji została uwieńczona powodzeniem, a poleskie lasy wzbogacą się o tak pięknego, a dziś już rzadko spotykanego zwierza.

KONSTANTY ZIENKIEWICZ
Inspektor Lasów Ordynacji

W SPRAWIE PREMJI ZA „NOSY PSÓW I KOTÓW".

Wielka wrzawa, która powstała w prasie codziennej z powodu nieszczęśliwie zredagowanej odezwy grodzieńskiego Łowczego Powiatowego w sprawie tępienia włóczących się po łowiskach bezpańskich psów i kotów, znajduje wytłomaczenie w pobudkach natury uczuciowej, ale nie jest usprawiedliwiona rzeczywistym stanem rzeczy.

Może wywołać uczucie niesmaku wyrażenie: „za nos ubitego psa czy kota wypłaca się po 50 gr.", ale przeciwstawić temu trzeba, że każdy żywy pies czy kot, włóczący się bez dozoru po polu czy lesie, zamorduje w ciągu roku setki, jeżeli nie tysiące ptaków śpiewających, kuropatw, młodych zajączków, sarniąt i t. p.

Szkodliwość bezpańskich psów i kotów w mieście jest uznana i czyściciele mają obowiązek ustawowy ich wyławiania i tępienia, dlaczego więc podnosi się protest przeciwko takiemuż tępieniu ich w łowiskach, gdzie szkody przez nie czynione są znacznie większe?

Autorzy wzmianek alarmujących powołują się na demoralizujący wpływ odezwy na szeroki, nieuświadomiony ogół, zachęcony do „barbarzyństwa", ale odezwa skierowana była i przesłana została wyłącznie do Kół Łowieckich oraz strażników łowieckich, a więc organizacyj fachowych i zamkniętych, i nie była gdzieindziej ogłaszana czy plakatowana. Ponadto zakreślała ona ściśle ograniczony termin wypłacania premij — do 31 sierpnia 1938 r. — t. j. do zamknięcia okresu lęgowego i hodowlanego dla kuropatw i zajęcy, a więc przestała obowiązywać, kiedy właśnie podniesiono alarm.

Godząc się przeto z tem, iż forma odezwy była nieszczęśliwie pomyślana, musimy jednak stanąć w obronie jej założenia zasadniczego — walki z plagą włóczących się psów i kotów, największych szkodników w lesie i w polu.

J. GIEYSZTOR.

SPROSTOWANIE

W Nr. 1 z r. b. drukowaliśmy artykuł p. Henryka Buszyńskiego p. t. „Z łowiska cietrzewi". Na str. 24 w I szpalcie, w 7-ym wierszu od dołu przez błąd drukarski, który się wkradł podczas ostatniej poprawianej korekty innego błędu, przez przestawienie wierszy nastąpiło zniekształcenie treści, co niniejszym prostujemy.

Zniekształcone zdanie, poczynając od wiersza 8-go od dołu winno brzmieć w całości, jak niżej:

„Panów specjalistów strzelaczy do „migających" cietrzewi *chciałbym widzieć na podobnych terenach* cietrzewich, jak moje".

Kursywą wydrukowane wyrazy stanowią wiersz, który został opuszczony i zastąpiony omyłkowo dublikatem wiersza następnego.

KRONIKA MYŚLIWSKA

POLOWANIE W BIAŁOWIEŻY.

W dniach 14-go, 15-go i 16-go, stycznia b. r. — polował w Puszczy Białowieskiej Pan Prezydent Rzeczypospolitej w towarzystwie Pana Marszałka Polski Edwarda Śmigłego-Rydza, członków Gabinetu Wojskowego oraz zaproszonych gości.

Przyjazd Pana Prezydenta nastąpił w dniu 13 stycznia o godzinie 20-ej. Poza przedstawicielami administracji ogólnej i wojska, ze strony administracji lasów państwowych witali Pana Prezydenta Dyrektor Lasów Państwowych p. K. Nejman i p. Insp. Doubrawski.

W pierwszych dwóch dniach w polowaniu wzięli udział: Pan Prezydent Rzeczypospolitej, Pan Marszałek Polski Śmigły-Rydz, Panowie: Minister Mościcki, Minister Poniatowski, Minister Świętosławski, Minister Kościałkowski, Minister Kasprzycki, Marszałek Senatu Miedziński, Gen. Schally, Gen. Zamorski, Gen. Piskor, Gen. Fabrycy, Gen. Schylling, Gen. Trojanowski, Gen. Regulski, Gen. Skwarczyński, Pułk. Kobyłecki, Major Krzeczkowski, Kpt. Hartman i Kpt. Kryński.

W trzecim dniu, po odjeździe gości, towarzyszyli Panu Prezydentowi Pan Minister Mościcki i członkowie Gabinetu Wojskowego. Polowanie w tym dniu trwało krócej, ze względu na wyjazd z Białowieży.

Ogółem wzięto w trzech dniach 14 miotów o powierzchni około 1400 ha. i ubito 44 dziki, 2 rysie, 1 wilka i 3 lisy — razem 50 sztuk.

Polowanie odbywało się w bardzo złych warunkach atmosferycznych. Podczas dnia temperatura wynosiła kilka stopni powyżej zera i chwilami padał deszcz. Śnieg znikł był prawie zupełnie, wobec czego dziki żerowały po całej puszczy. Podany wyżej wynik polowania przy takich warunkach należy uważać za zadowalający.

Dyrekcja Lasów Państwowych w Białowieży.

*

— W połowie stycznia r. b. odbyły się polowania na bażanty w Łochowie u hr. Eryka Kurnatowskiego. Zabito w Zwierzyńcu, Białym Ługu, Rogoźniaku i Obozowisku 3024 bażanty i 407 zajęcy; ogółem 3431 sztuk.

*

— W dobrach Wierzchowiska p. Jana Koźmiana odbyły się w sezonie łowieckim 1938—39 polowania z następującemi wynikami:

Dnia 15 września 1938 r. polowano na pędzone kuropatwy w 10 strzelb i podniesiono 377 kuropatw. Najwięcej na rozkładzie, sztuk 62, miał p. K. Drecki.

Dnia 15 listopada 1938 r. w 3-ch ławach leśnych, 1-ej polnej i 2 pędzeniach, w 11 strzelb podniesiono: 477 zajęcy, 2 słonki, 337 bażantów, 35 kuropatw i 2 różne, razem sztuk 851. Najwięcej na rozkładzie sztuk 132, miał p. Tadeusz Siemieński.

Dnia 12 stycznia 1939 r. odbyła się obława na dziki z czertą i psami, przy udziale 16-tu myśliwych. W ciągu 4-ch godzin ubito 36 dzików (1 odyńca, 5 wycinków, 12 loch, 6 przelatków, 12 warchlaków). Najlepszy pokot uzyskał p. Konrad Niemojewski, mając 6 dzików (1 odyńca) na rozkładzie.

W ciągu sezonu 1938—39 ubito w Wierzchowiskach: 36 dzików, 7 rogaczy, 3 lisy, 485 zajęcy, 353 bażanty, 2 słonki, 554 kuropatwy, 5 przepiórek, 10 kaczek, 5 różnych. Razem sztuk 1460.

*

— W dniu 5 grudnia 1938 r. odbyło się polowanie w Kalinowie (powiat kaliski) — u p. Konstantego Murzynowskiego. Na rozkładzie znalazło się 420 zajęcy i 832 bażanty — razem sztuk 1252.

W polowaniu wzięli udział: p. p. Kazimierz Wodziński (147 sztuk), Ludomił Pułaski (147 sztuk), Andrzej Potworowski, Henryk Krzyżanowski, Józef Krzyżanowski, Ludwik Nieniewski, sen. Ludomił Pułaski, Andrzej Dubieński, Antoni Mańkowski, Antoni Karczewski, Maciej Chełkowski, Zdzisław Kamocki.

*

— Dn. 16-go stycznia r. b. odbyło się polowanie w lasach radzyńskich p. Bronisława Szlubowskiego. Upolowano 91 zajęcy, 1 dzika i 1 rogacza; strzelano do 4 dzików i 4 lisów.

Dn. 28 tegoż miesiąca, tam że polowano z 6 strzelb z kilku gajowymi w roli naganki i 3 psami na dziki i lisy — upolowano 3 dziki i 4 lisy; strzelano jeszcze do dwóch warchlaków.

— Dn. 14 b. stycznia w dobrach Białka pow. radzyńskiego upolowano na terenach własnych i dzierżawionych 91 zajęcy i 1 lisa.

*

— Dnia 12.XII. 1938 r. odbyło się polowanie w maj. Kromolice pow. krotoszyńskiego u p. por. Borzycha.

Opolowano dzierżawiony teren włościański i teren majątku o łącznym obszarze 1500 ha.

Udział brali pp: Ks. Prob. Lis, insp. Haugas, kpt. Abryszyński, rtm. Górski, mec. Bethke, Nowaczkiewicz i gospodarz.

Upolowano: 450 zajęcy, 20 bażantów i 1 królika. Przy prawie równych rozkładach najwięcej upolował kpt. Abryszyński.

Na tym samym terenie podniesiono w 4 strzelby w mies. wrześniu 1136 kuropatw i w październiku 376 bażantów.

*

— Dnia 17.XII. 38 odbyło się polowanie w maj. Dalechowice, pow. pińczowskiego, u p. inż. E. Wojewódzkiego. Przy — 16°C i b. silnym Pn. wietrze, zaczęto polowanie o godz. 10-tej. Dopisało strzelb 4, z czego po godzinie odpadło dwie z powodu nadmrożeń. W 1 ławie polnej i 4 pędzeniach leśnych podniesiono 153 zające, 11 bażantów-kogutów i 1 krogulca, razem 165 sztuk.



Z polowań Wojskowego Tow. Łowieckiego w nadl. Bronna Góra. Dublet do dzików p. J. Skrzypka. Od lewej pp. Gen. Olbrycht, ppułk. W. Onacewicz J. Skrzypek, ppułk. T. Klimecki i ppułk. W. Rozwadowski.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW P. Z. Ł.

WOJEWÓDZTWO BIAŁOSTOCKIE.

Białostocka Wojewódzka Rada Łowiecka niniejszym zawiadamia, że Walne Zgromadzenie Wojewódzkie Oddziału Białostockiego Polskiego Związku Łowieckiego odbędzie się w dniu 28.II b. r. o godz. 15-ej po południu w lokalu Związku Ziemian w Białymstoku przy ul. Pierackiego 9, wg. nast. porządku:

1) Zagajenie.
2) Wybór 1 sekretarza i 2 asesorów (§ 40 statutu).
3) Odczytanie protokółu z poprzedniego Walnego Zgromadzenia, odbytego w dniu 13.XI. 1937 r.
4) Sprawozdanie Zarządu Wojewódzkiej Rady Łowieckiej z dotychczasowej działalności.
5. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej.
6) Preliminarz budżetowy na rok 1939.
7) Wnioski, zgłoszone do Rady w trybie § 42 statutu.

Walne Zgromadzenie, zgodnie z § 38 statutu, będzie ważne z wyznaczonym terminie bez względu na liczbę obecnych.

WOJEWÓDZTWO KIELECKIE.

Kielecka Wojewódzka Rada Łowiecka zawiadamia, że Walne Zgromadzenie Wojewódzkie Kieleckiego Oddziału Polskiego Związku Łowieckiego odbędzie się dnia 8 marca r. b., o godzinie 12-ej, w Kielcach, przy ul. Sienkiewicza Nr. 47, w lokalu Kieleckiej Izby Rolniczej.

Porządek dzienny jest następujący:

1) Zagajenie i przywitanie Delegatów.
2) Wybór 2 sekretarzy i 4 asesorów do Prezydjum Zgromadzenia.
3) Odczytanie i przyjęcie protokółu z ostatniego Zgromadzenia.
4) Odczytanie sprawozdania Komisji Rewizyjnej
5) Zatwierdzenie sprawozdania za rok 1938 i uchwalenie dla Rady absolutorjum.
6) Sprawozdanie z prac bieżących Oddziału.
7) Zatwierdzenie preliminarza budżetowego na 1939 r.
8) Wybory członków Rady i przedstawicieli Związku na miejsce członków, którzy zgłosili swe ustąpienie, lub ustępują według § 41 statutu.
9) Wolne wnioski.

WOJEWÓDZTWO ŚLĄSKIE.

Śląska Wojewódzka Rada Łowiecka P. Z. Ł. zwołuje Walne Zgromadzenie Wojewódzkie (Oddziałowe) P.Z.Ł. na dzień 27 lutego 1939 r., które odbędzie się o godzinie 17-tej w Katowicach, w hotelu Savoy, przy ulicy Marjackiej 4/6 (§ 38, 43 statutu P. Z. Ł.) z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie.
2. Wybory do Prezydjum Zgromadzenia (§ 40 statutu P.Z.Ł.).
3. Odczytanie protokółu z Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia w dniu 11 maja 1938 r.
4. Sprawozdanie Śląskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej: prezesa, sekretarza, skarbnika.
5. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej.
6. Dyskusja i uchwalenie absolutorjum.
7. Uchwalenie budżetu Śląskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej i Łowczych Powiatowych na rok 1939.
8. Uzupełniające wybory do Rady.
9. Wnioski zgłoszone na Walne Zgromadzenie.
10. Wolne głosy.

WOJEWÓDZTWO POZNAŃSKIE.

W dniu 24 lutego 1939 r. o godz. 11,30 odbędzie się w lokalu Związku Oficerów Rezerwy, Poznań, Stary Rynek 80/2, Walne Zgromadzenie Wojewódzkie Wielkopolskiego Oddziału Polskiego Związku Łowieckiego z następującym porządkiem obrad:

1) Sprawdzenie listy obecnych;
2) Zagajenie i powitanie;
3) Wybór 2 sekretarzy i 4 asesorów do Prezydjum Zgromadzenia.
4) Odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zromadzenia Oddziału P.Z.Ł. w Poznaniu z dnia 26 marca 1938 r.
5) Odznaczenia medalami zasługi łowieckiej wybitnych działaczy na polu łowiectwa;
6) Sprawozdania:
   a) Prezesa Oddziału z działalności za r. 1938.
   b) Skarbnika o stanie finansowym za tenże okres.
   c) Komisji Rewizyjnej z przebiegu dokonanej rewizji
   d) Dyskusja nad powyższemi sprawozdaniami.
7) Udzielenie absolutorjum za rok 1938 Wojew. Radzie Łowieckiej;
8) Zatwierdzenie preliminarza budżeetowego Wielk. Oddz. P. Z. Ł. na r. 1939;
9) Wybór 1 członka do Wielk. Wojew. Rady Łow., w miejsce ustępującego;
10) Wybór 5-ciu delegatów na Walne Zgromadzenie Związku w Warszawie;
11) Rozpatrzenie wniosków, zgłoszonych w myśl § 42 statutu P.Z.Ł. (zgłoszonych na 2 tygodnie przed terminem Walnego Zgromadzenia);
12) Wolne głosy.

WOJEWÓDZTWO WOŁYŃSKIE.

Dnia 18 lutego b. r. o godz. 18 w lokalu własnym w Łucku przy ul. Bankowej 1 odbędzie się Walne Zgromadzenie Wojewódzkie Polskiego Związku Łowieckiego z terenu Wołynia z następującym porządkiem dziennym:

1) Powitanie.
2) Wybory Prezydjum.
3) Odczytanie protokółu poprzedniego Walnego Zgromadzenia.
4) Sprawozdanie Rady Wojewódzkiej:
   a) ogólne,
   b) finansowe.
5) Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej.
6) Preliminarz budżetowy na rok 1939.
7. Referat p. Mieczysława Mniszek-Tchorznickiego p. t. „Hodowla i odstrzał selekcyjny sarn".
8) Wybory:
   a) Wiceprezesa i członków W.R.Ł. (uzupełniające).
   b) Komisji Rewizyjnej i zastępców.
   c) Delegatów na Walne Zgromadzenie P.Z.Ł.
10) Wolne wnioski.

MYŚLIWI zbierajcie wystrzelone łuski na F.O.N. i oddawajcie je Łowczym Powiatowym

DO PANÓW ŁOWCZYCH POWIATOWYCH.

W roku ubiegłym zwracaliśmy się na tem miejscu kilkakrotnie z prośbą, o łaskawe nadsyłanie zawiadomień o Walnych Zgromadzeniach Powiatowych w takich terminach, abyśmy mieli techniczną możność umieszczania ich na łamach naszego organu celowo t. j. przed odbyć się mającem zebraniem.

W roku bieżącym na 25—30 nadesłanych przez Panów Łowczych Powiatowych zawiadomień o Walnych Zgromadzeniach jedynie połowa mogła ukazać się w druku, ine musiały być odłożone i niepodane drukiem do wiadomości zainteresowanych, gdyż zostały nam przesłane zapóźno.

Jako przykład podajemy: ogłoszenie o Walnem Zgromadzeniu Powiatowem, mającem się odbyć 12 lutego, które nadeszło do Redakcji w dniu 25 stycznia, nie miało szans ukazania się drukiem w porę, gdyż cały numer na 1-go lutego był już kompletnie zestawiony, a dnia 25 znajdował się na maszynach drukarskich (co trwa wraz z drukiem okładki, schnięciem, obcinaniem i broszurowaniem 4 dni—29-go wypadła niedziela — poczem następuje ekspedycja gotowego nakładu). Ogłoszenia tego, jak łatwo wywnioskować, nie było celu już drukować w następnym numerze z 15-go lutego, bowiem Walne Zgromadzenie miało miejsce przed ukazaniem się numeru. Podobnych wypadków mieliśmy kilkanaście.

W łączności z powyższem przypominamy, że „Łowiec Polski", jak wiadomo, wprawdzie ukazuje się w roku bieżącym w znacznie zwiększonej objętości, lecz tylko co 1-go i 15-go każdego miesiąca, jako dwutygodnik, że zatem ogłoszenia terminowe winny być nadsyłane do 5-go lub 20-go danego miesiąca, aby mogły być z pożytkiem zamieszczone we właściwym czasie, przyczem daty te muszą być uzgodnione z interesem ogłoszenia przez wysyłającego je do druku

*

POWIAT GRÓJEC WOJ. WARSZAWSKIEGO.

W myśl § 50 statutu Pol. Związku Łowieckiego zwołuję zwyczajne Walne Zgromadzenie Powiatowe członków Pol. Zw. Łowieckiego, zamieszkałych lub posiadających tereny łowieckie w powiecie grójeckim, na dzień 16 lutego 1939 r., t. j. w czwartek godz. 13, w sali Wydziału Powiatowego w Grójcu, z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie.
2) Wybór sekretarza i 2 asesorów Prezydjum.
3) Odczytanie protokółu.
4) Sprawozdanie z dotychczasowej działalności.
5) Referat „Hodowla zwierzyny łownej" — p. Adolf Szonert.
6) Walka z kłusownictwem i wnykarstwem — p. Lucjan Wiechecki.
7) Podział powiatu na obwody i ustalenie kandydatów Łowczego Powiatowego i Podłowczych.
8) Wybór członków Powiatowej Rady Łowieckiej.
9) Wybór delegatów na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
10) Wolne wnioski.

TADEUSZ MORAWSKI
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT WRZEŚNIA WOJ. POZNAŃSKIEGO.

Na mocy § 50 statutu Pol. Zw. Łow. zwołuję Walne Zgromadzenie Powiatowe członków P. Z. Ł. powiatu wrzesińskiego na dzień 16 lutego 1939 r. godz. 11 w salce Sejmiku Powiatowego.

Porządek obrad:

1) Zagajenie.
2) Wybór 2 asesorów i sekretarza do Prezydjum.
3) Odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zgromadzenia Powiatowego.
4) Sprawozdanie Łowczego Powiatowego o przebiegu prac Powiatowej Rady Łowieckiej.
5) Referat.
6) Wybór 5 członków Pow. Rady Łow. na r. 1939 i 1 delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
7) Wolne głosy i wnioski.
8) Zamknięcie obrad.

Przed zebraniem o godz. 10 przyjmować się będzie nowych pp. członków do P. Z. Ł.

ZYGMUNT CZARNECKI
Podłowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT KRAKÓW WOJ. KRAKOWSKIEGO.

Walne Zgromadzenie Powiatowe P. Z. Ł. odbędzie się 19-go lutego r. b. o godz. 11-tej w Krakowie, Al. Słowackiego l. 20. I. p., w sali posiedzeń Rady Powiatowej, na które po myśli § 50-go statutu P. Z. Ł. członków P. Z. Ł. uprzejmie zapraszam i proszę o najliczniejsze przybycie.

Porządek Zgromadzenia:

1) Sprawozdanie Łowczego Powiatowego z dotychczasowej działalności Łowczego i Powiatowej Rady Łowieckiej P. Z. Ł.
2) Sprawozdanie kasowe Łowczego Powiatowego z otrzymanej gotówki od Wojewódzkiej Rady Łowieckiej P. Z. Ł.
3) Przedstawienie preliminarza budżetowego na 1939 r.
4) Wybór 5-ciu członków Powiatowej Rady Łowieckiej P.Z.Ł. na 1939 rok.
5) Wybór 2 delegatów na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie P. Z. Ł.
6) Różne wnioski.

MARJAN WOLL
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT NOWOGRÓDEK WOJ. NOWOGRÓDZKIEGO.

Zgodnie z § 50 statutu P. Z. Ł. odbędzie się w dniu 19 lutego rb. o godz. 13-tej w lokalu Izby Rzemieślniczej w Nowogródku — ul. Piłsudskiego 8 Walne Zgromadzenie Powiatowe członków P. Z. Ł. z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie.
2) Wybór 2 asesorów i sekretarza.
3) Sprawozdanie Łowczego.
4) Wybór członków Powiatowej Rady Łowieckiej.
5) Wybór delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
6) Sprawa budżetu Rady Powiatowej.
7) Wolne wnioski.

Walne zgormadzenie będzie ważne w pierwszym terminie bez względu na ilość obecnych.

R. J. STARK,
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT GRODZKI WARSZAWA-POŁUDNIE.

Zgodnie z § 50 statutu P.Z.Ł. w dniu 23 lutego r. b. o godz. 19, w lokalu Związku przy ul. Nowy-Świat 35, odbędzie się Walne Zgromadzenie Powiatowe P.Z.Ł. z następującym porządkiem obrad:

1) Zagajenie;
2) Odczytanie protokółu z poprzedniego Zgromadzenia;
3) Sprawozdanie Łowczego;
4) Wybory członków Rady Powiatowej i delegatów na Walne Zgromadzenie Wojew. Rady Łow.
5) Wolne wnioski.

Wszyscy członkowie P.Z.Ł. zamieszkali na terenie Starostwa Grodzkiego Warszawa-Południe proszeni są o przybycie.

BRONISŁAW SZYBALSKI
Łowczy Powiatowy P.Z.Ł.

POWIAT MŁAWA, WOJ. WARSZAWSKIEGO.

Walne Zgromadzenie członków Pol. Zw. Ł. w pow. mławskim *odbędzie się dn. 24 lutego r. b.* (nie zaś 31 stycznia jak było podano).

WIKTOR BAGIEŃSKI
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT WILEJKA WOJ. WILEŃSKIEGO.

Na mocy § 50 statutu P. Z .Ł. zwołuję Walne Zgromadzenie Powiatowe członków P. Z. Ł. powiatu Wilejskiego na dzień 25 lutego 1939 roku, godzina 16-ta, w sali Wydziału Powiatowego, z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie.
2. Wybór sekretarza i 2 asesorów do Prezydjum.
3. Odczytanie protokółu ostatniego Walnego Zgramadzenia.
4. Sprawozdanie Łowczego z działalności za rok 1938.
5. Wybory członków Powiatowej Rady Łowieckiej.
6. Wybory delegatów na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
7. Wolne wnioski.

ALEKSANDER RADWAN-OKUSZKO
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

POWIAT TORUŃ WOJ. POMORSKIEGO.

Walne Zgromadzenie członków P. Z. Ł. powiatu toruńskiego odbędzie się dnia 23 lutego r. b. o godz. 12, w sali Dworu Artusa, z następującym porządkiem obrad:

1) Stwierdzenie obecności członków.
2) Zagajenie.
3) Odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zebrania.
4) Sprawozdanie z działalności za rok 1938.
5) Wybór członków Pow. Rady Łow.
6) Wybór delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
7) Referat i dyskusja.
8) Wolne wnioski.

TADEUSZ KENTZER
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł

*

Prócz tego **w dniu 15 lutego 1938 r.** odbędą się Walne Zgromadzenia Powiatowe w następujących miejscowościach:

1. Powiatu Stanisławów (woj. stanisławskiego) w Stanisławowie o godz. 11-ej w Kasynie Polskim.
2. Powiatu Brześć n/Bugiem (woj. poleskiego) w Brześciu n/B. o godz. 17-ej w Klubie Myśliwskim.
3. Powiatu Tczew (woj. pomorskiego) w Tczewie o godz. 15.30 w Hotelu Centralnym;
4. Powiatu Wołkowysk (woj. białostockiego) w Wołkowysku o godz. 17-ej w Resursie Obywatelskiej.

WALNE ZEBRANIE WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH.

W myśl § 12 statutu W.Z.M., odbędzie się w niu 25 lutego 1939 r. o godz. 10,30 Walne Zebranie Wielk. Zw. Myśl. z następującym porządkiem obrad:

1) Stwierdzenie obecnych
2) Zagajenie i powitanie zebranych;
3) Odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zebrania;
4) Sprawozdania:
   a) Prezesa z działalności za rok 1938;
   b) Skarbnika za tenże okres, o stanie finansowym;
   c) Komisji Rewizyjnej z przebiegu dokonanej rewizji;
   d) Dyskusja nad powyższemi sprawozdaniami;
5) Udzielenie absolutorjum zarządowi za rok 1938;
6) Wybór nowych członków do Zarządu w miejsce wylosowanych;
7) Uchwalenie składki na rok 1939;
8) Rozpatrzenie wniosków postawionych na Walne Zebranie przez Zarząd W.Z.M.
9) Wolne głosy;
10) Zamknięcie obrad.

W razie niestawienia się wymaganej statutem ¼ ilości ogółu członków, odbędzie się ½ godziny po wyznaczonym terminie drugie Walne Zgromadzenie, które staje się prawomocne bez względu na ilość obecnych.

TREŚĆ NUMERU:

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 6.—; za pół roku zł. 12.—; za rok zł. 24.—; miesięcznie zł. 2.—. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał zł. 5.—; za pół roku zł. 10; za rok zł. 20.—; miesięcznie zł. 1.75. Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklam. w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrach. Nr. 206, Warszawa 1.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł.
Przed tekstem 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25) codziennie; prócz sobót, między 3-ą i 4-tą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Redaktor: Walenty Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki. Sekretarz Redakcji: Wł. Zabiełło.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego, tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

OGŁOSZENIA DROBNE



MUZEUM MYŚLIWSKIE

i PRACOWNIA WYPYCHANIA PTAKÓW i ZWIERZĄT,

oprawy rogów i kłów, **wyprawy** skór z włosiem i na zamsz, **robienia** dywanów i kołnierzy zwierzęcych

STEFANA GREULICHA

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 61. Telefon 5-37-84.



WIKTOR ŁASTOWSKI



PRACOWNIA WYPYCHANIA ZWIERZĄT I PTAKÓW

oprawa rogów, robienie dywanów, wyprawa skór.

Warszawa, Krak. Przedm. 10, telefon 6-86-78.
Wprost kośc. Ś-go Krzyża

Egz. od 1861 r.



Skład i Fabryka Broni
J. SOSNOWSKI, w Warszawie
sp. z o. o.
Krak. Przedm. 7, tel. 647-47

Poleca strzelby:

G. Defourny-Sevrin à Liège
A. Forgeron "
A. Francotte "
Lepage "
Sztucery, Trójlufki
G. Defourny-Sevrin à Liège
J. Nowotny Praha

Duży wybór strzelb okazyjnych i komisowych

Warsztaty reperacyjne.

Ceny i warunki przystępne — Katalogi ilustrowane bezpłatnie



NOWOŚĆ

MINIATUROWA TRĄBKA MYŚLIWSKA
„wielkość dłoni"
cena zł. 27.50

B. RUDZKI

Warszawa, Marszałkowska 146
na prowincję — za pobraniem.



„RYŚ"

NOWA PRACOWNIA

pod kierownictwem doświadczonego preparatora

Gwarantuje się fachowe preparowanie zwierząt i ptaków, oprawa szabel dziczych i rogów, wyprawianie skór z włosem i na zamsz.

Robienie dywanów i kołnierzy ze zwierząt futerkowych.
Wszelkie obstalunki firma wykonuje po cenach przystępnych.
WARSZAWA, CHMIELNA 35 m. 26 Telefon 6-57.52.



NA SEZON WIOSENNY

Polecamy Precezyjne karabinki B. S. W. i Zi-Di kal. 5,6×35.
Automatyczne, 10-cio strzałowe BROWNINGI i 15-to strzał. magazynowe „TROMBONE" kal. 22, wyrobu fabryki F. N.
Automatyczne, 10-cio strzał. karab. WINCHESTERY kal. 22 l. r. i takież 6-cio strzał. WINCHESTERY kal. 32 i 351.
Oraz znane 5-cio strzałowe sztucery MANNLICHER-SCHONAUER w kal. 6,5 7,62 i 8×60 Magnum.

Wszystkie wymienione typy mamy również z lunetami ZEISSA.

GŁÓWNY SKŁAD **WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA** WARSZAWA, KRÓLEWSKA 17

Oddziały:

POZNAŃ	LWÓW	WILNO	KATOWICE
Br. Pierackiego 12	Plac Marjacki 4	Wileńska 10	Młyńska 2

Cenniki bezpłatnie na żądanie.

W celu ułatwienia hodowcom zwierzyny płowej zasilania jej solą pastewną, zadawaną w **LIZAWKACH**

POLSKI MONOPOL SOLNY

od jesieni roku ubiegłego przystąpił do fabrykacji **brykietów solnych**

Czas wprowadzenia brykietów, waga ich i opakowanie podane będą do wiadomości.